

Pamiętnik Słima Morano – 5

11 lipca 2020

Kronika z lat 2357-2386

Zapytałem kiedyś Hermana:

„Co to jest wolność?” Odpowiedział mi:

„Wolność jest drogą, po której idziesz.

I jest ona twoją latarnią.

Im dalej sięga twoje spojrzenie,

tym szersza jest twoja droga.

Jest ona pomostem, który

obmywają miękkie morskie fale,

i jest ona piaskiem pod twoimi stopami,

który przyjazna bryza chłodzi

swoim najłagodniejszym dotykiem.

Wolność rozmywa granice

pomiędzy tym, co jest w tobie

i co jest na zewnątrz...”

Marzec 2385

Tym razem inkarnowałem się na Ziemi z woli Najwyższego w roku 2357. Była to jednak wersja rzeczywistości, będąca kontynuacją dawnej historii tej planety, kontynuacją zresztą liniową. W swojej wersji nieliniowej Ziemia przeewoluowała w wyższy wymiar, stając się jedną z ości Królestwa. Problem jednak polegał na tym, że wielu mieszkańców tejże liniowej wersji rzeczywistości było wysłannikami królestwa. I że nie mogli do królestwa powrócić bez pomocy z zewnątrz, gdyż rzeczywistość ta okradała ich z ich życiowych wibracji: już od wczesnego dzieciństwa była im wpajana nienawiść do płci przeciwnej. Tutejszy system wychowania opierał się bowiem na pobudzaniu najniższych instynktów i absolutnym braku jakichkolwiek skrupułów w prześladowaniu i wyżywaniu się na innopłciowcach.

Byli oni postrzegani jedynie jako element prokreacyjny i służyli drugiej stronie jedynie za dostarczycieli materiału genetycznego i ewentualnie jeszcze jako chłopcy do bicia albo jako króliki doświadczalne.

Wysłannicy królestw, którzy więc ugrzęźli w tej rzeczywistości, nie byli w stanie ponownie osiągnąć poziomu wibracji, umożliwiającego im powrót do swojej ziemi ojczystej. Po odrzuceniu bowiem po śmierci ciała fizycznego, mieli tak niski poziom wibracyjno-energetyczny, że nie mogli się zinkarnować w królestwie, ale jedynie w jednym z niższych światów, często tak niskich, że na zawsze tracili już szansę powrotu do góry.

Ta więc wersja rzeczywistości, do której obecnie i ja zostałem posłany, znana była z zatrważająco niskiej statystyki powrotów. A mówiąc całkiem szczerze – praktycznie nikt z niej nie powracał.

Moim (niekarmicznym zresztą) powołaniem było zmienić ten stan rzeczy, głównie poprzez rozpowszechnienie wyższych wzorców wibracji. I to nie tylko w celu uratowania od niechybnej zguby wielu tu zreinkarnowanych wysłanników Królestwa, ale także możliwie wielu wysłanników innych światów, zagubionych i zdegenerowanych niskimi wibracjami tego podświata. Wykonywalne to było jedynie poprzez odnalezienie możliwie wielu agentów Królestwa, którzy zresztą najczęściej zapominali o swoim pochodzeniu, i podwyższenie przy ich jednoczesnym udziale ogólnego poziomu wibracji planety. Jak jednak rozpowszechniać ideały moralne w świecie, w którym życie polityczne jest zdominowane przez zwalczające się gangi lesbijek i gejów, a zakaz miłości pomiędzy kobietami i mężczyznami jest równie powszechny, jak najokrutniejsza bezwzględność i najbardziej podstępne metody w dążeniu do władzy i kontroli nad zasobami energii i produkcją żywności?

To wszystko jednak było niczym w porównaniu z kontrolą poczęć. Ponieważ naturalne związki heteroseksualne były praktycznie

niemożliwe do zawarcia i utrzymania, a teoretycznie całkowicie niedozwolone – potomków swoich (przynajmniej według oficjalnych danych) produkowano wyłącznie w laboratoriach. Nie to jednak było jeszcze tak przerażające, jak fakt, że w celu uzyskania odpowiedniego materiału genetycznego posuwano się na co dzień do zbrodniczych napadów i rabunków, których ofiarą mógł być każdy, kto stał nieco powyżej przeciętnego poziomu atrakcyjności. Taki człowiek bowiem stanowił wyższy jakościowo materiał genetyczny. Jeżeli więc ktoś grzeszył ponadprzeciętną urodą i, nie daj Boże, do tego jeszcze odpowiednim osobistym urokiem i powabem, mógł być bardzo atrakcyjnym reproduktorem. Jego bezpośrednio bądź w krzyżówkach powieleni potomkowie stanowili najcenniejszy środek płatniczy. Mieszkańcy tego świata za najwyższą bowiem formę szczęścia uznawali posiadanie na własność takiej reprodukcji, która byłaby żywą kopią odpowiadającego ich potrzebom osobnika płci żeńskiej lub męskiej, sporadycznie obojnika. Kopie te – żywe lalki – mogły charakteryzować się przeróżnymi właściwościami, na przykład mieć zmodyfikowane narządy płciowe, zmienione usposobienie lub rysy twarzy, najważniejsza jednak była należąta jakość, to znaczy odpowiednia spolegliwość i zwłaszcza spowolnione procesy starzenia – po to, aby możliwie długo zachowywały urodę i cechy wieku, w jakim zostały oddane do użytku. Najchętniej nabywano reprodukcje w wieku od dziesięciu do czternastu lat, gdyż były one już dobrze rozwinięte, a jednocześnie jeszcze bardzo bezradne wobec zadawanego im cierpienia, i przynosiły przez to swoim posiadaczom najwięcej satysfakcji. Reprodukcje wysokiej jakości odznaczały się także ponadto rozwiniętymi właściwościami samoregeneracyjnymi, to znaczy, że zadawane im w czasie zabaw zewnętrzne i wewnętrzne obrażenia potrafiły się same goić lub też dawały się reperować w czasie procesów regeneracyjnych u producentów. Najtrudniejsze do uleczenia były wewnętrzne uszkodzenia mózgu. Ich zadawanie należało jednak do najbardziej ulubionych form wyżywania się na reprodukcjach, gdyż wyzwalało to w nich najbardziej spontaniczne formy cierpienia i tym samym wywoływało u ich posiadaczy najintensywniejsze przeżywanie

rozkoszy i najwyższe poczucie zaspokojenia, co równoznaczne było w powszechnym mniemaniu z poczuciem szczęścia.

Oczywiście byli i tacy, którzy posiadali na własność całe zastępy reprodukcji. Decydowała o tym głównie pozycja w hierarchii społecznej, środki płatnicze bowiem, takie jak pieniądze, w ogóle nie istniały. Pozycję w społeczeństwie określał stopień przystosowania do panujących warunków życia. Przystosowanie zaś do życia polegało w głównej mierze na przynależności do jakiejś grupy. Utrzymanie się przy życiu w samotności bądź niezależności od innych było praktycznie niemożliwe.

Ja miałem o tyle szczęście, że przyszedłem na świat jako bardzo cenna męska krzyżówka. Dwa największe, zwalczające się obozy, Lesbos i Homos, toczyły pomiędzy sobą wiele walk i nieustannie organizowały napady, których celem było wykradanie sobie najcenniejszych krzyżówek-reproduktorów. I mnie wykradziono; a mianowicie Lesbos wykradły mnie z Heterolandii, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Byłem bowiem pochodzącą z jedynej w swoim rodzaju krzyżówki matrycą, czyli reprodukcyjnym pierwowzorem (oryginałem), przez co traktowany byłem w sposób szczególny i należałem przez lata do absolutnych pupili przywódczyni partii Lesbos, Atai. Ataja była przepiękną blondynką, krzyżówką swojej słynnej z urody matki, Benai Suneze, i legendarnego wodza Homos, Monogata Tareze. Ja sam byłem krzyżówką, pochodzącą z heteroseksualnego związku, i wiadomo mi było tylko tyle, że moją matką była legendarna, heteroseksualna piękność z Heterolandii, Rawa Ssemane. Gnieźdzący się w Heterolandii Heteros, najsłabsza z trzech oficjalnych sił politycznych Ziemi, byli nacją zredukowaną do roli wasala Homos i Lesbos i tolerowaną tylko dlatego, że niektóre krzyżówki, pochodzące z jej zasobów, były zbyt cenne, aby z nich zrezygnować. Heteros znajdowali się jednak praktycznie pod całkowitą kontrolą Lesbos i Homos i byli zdani na ich łaskę i niełaskę. Ich kolonie rozciągały się na terenie byłej północno-wschodniej Azji, która, po

gigantycznych trzęsieniach ziemi w dwudziestym pierwszym wieku, była nie tylko przedzielona w pół na dwa lądy, ale była też lądem o zupełnie inaczej przebiegających granicach i innej topografii, niż przez ostatnich wiele tysięcy lat.

Zarówno Homos jak i Lesbos w poszukiwaniu nowych, cennych krzyżówek podejmowali ciągłe wyprawy na teren Heterolandu. Łupem tych wypraw padały najczęściej dzieci i noworodki, jeśli odpowiadały pewnemu minimalnemu standardowi genetyczno-reprodukcyjnemu. Ponieważ przywódcy Homos i Lesbos bali się, aby żyjące w ich społecznościach osobniki heteroseksualne nie zaraziły się bakcylem heteroseksualnej miłości lub też w ogóle dowiedziały się o możliwości naturalnej prokreacji, przedstawiano w ich krajach Heteros jako zbuntowanych dzikusów, jako barbarzyńców, których należy przetrzymywać na terenie zamkniętych rezerwatów, aby uniknąć z ich strony zagrożenia.

Ataja, regentka Lesbolandu w miejsce swojej własnej matki, przez wiele lat bardzo mi sprzyjała i strzegła mnie jak oka w głowie. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że była córką okrutnej Benai Suneze, która od dziesięciu lat pędziła swój żywot w specjalnie strzeżonym łagrze więziennym na wyspie Scotlandos, powstałej w dwudziestym pierwszym wieku nieco na zachód od zatopionej Wielkiej Brytanii, na wysokości Szkocji. Obóz ten strzeżony był przez Homos ich doborowymi jednostkami i był praktycznie nie do zdobycia. Dlatego też Lesbos nigdy się nie udało odbić ich przywódczyni. Było natomiast wiadomo, że Homos wykorzystywali ją do wielu krzyżówek, z których najwartościowsze przetrzymywali u siebie jako matryce do reprodukcji, setki zaś innych wymieniali z Lesbos lub rozprowadzali wśród siebie. Dlaczego wśród siebie? Dlaczego Homos rozdzielali wśród siebie kobiece reprodukcje?

Czyniono to pod pretekstem konieczności doskonalenia rzemiosła wojennego. Ideałem byłoby, gdyby każdy Homo posiadał na własność przynajmniej jedną kobiecą reprodukcję jako obiekt do ćwiczeń, służących ulepszaniu techniki walki. Nie każdy jednak

należał do kasty wojowników. A ci, którzy do niej należeli, potrzebowali wielu reprodukcji, gdyż w czasie ćwiczeń, nawet jeżeli dana reprodukcja posiadała wysokie walory regeneracyjne, to po iluś ciężkich ranach i okaleczeniach nie dała się już regenerować – w końcu były to żywe istoty ludzkie. Owe kobiece reprodukcje były u Homos przetrzymywane w specjalnych, zamkniętych, na ogół nieinwigilowanych pomieszczeniach, w większości piwnicznych, i teoretycznie służyły tylko jako obiekt do ćwiczeń i rozwijania w stosunku do kobiet wrogich, wojowniczo-sadystycznych emocji. W praktyce wyglądało to tak, że każdy przeciętny gej-wojownik miał do swojej dyspozycji jednostkę mieszkalną o powierzchni około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu metrów, podzieloną na część dolno-podziemną, parterową i piętrową. W części piętrowej posiadał męską reprodukcję jako towarzysza na co dzień i obiekt do zaspokajania swoich potrzeb uczuciowych i emocjonalno-seksualnych, na parterze zaś znajdowało się pomieszczenia ogólnego przeznaczenia z węzłem techniczno-komunikacyjnym i, w zależności od funkcji zawodowej i społecznej, odpowiednie dodatkowe wyposażenie. Nieprzynależni do kasty wojowników posiadali podobne jednostki mieszkalne, o zmniejszonej jednak powierzchni i standardzie. Podział był jednak taki sam: na dole potrzeby sadystyczno-wojownicze, w środku – techniczno-intelektualne, na górze praktyczne i relaksujące. Oczywiście każde domostwo było najdokładniej inwigilowane i kontrolowane, a wszystkie dane gromadzone w centralnej pamięci (wyjątek stanowili tu jedynie niektórzy, o ile wiem, wyżsi rangą wojownicy; czasowo mogli oni wyłączać się spod kontroli).

Podobnie wyglądało to w społeczeństwie Lesbos, z tą jednak różnicą, że kobiety wykazywały tendencję do kumulowania się w większe grupy. Ich pomieszczenia mieszkalne stanowiły więc większe budowle, w których występował ten sam podział na dół, środek i górę, z podobnym przeznaczeniem jak u Homos (co podpatrzyły u Homos i z czasem przejęły), ale które zamieszkiwane były przez kilka do kilkunastu kobiet naraz i

najczęściej sporą liczbę reprodukcji. Choć reprodukcje te, jak i u Homos, służyły im do zaspokajania wielu potrzeb emocjonalno-seksualno-relaksujących, to nie były one jednak tak ściśle odseparowane od swoich właścicielek i brały częściej aktywny udział w codziennych zajęciach Lesbos. Nie mogły jednak samodzielnie opuszczać górnych pięter budowli mieszkalnych, a już w żadnym wypadku wychodzić na zewnątrz bez towarzystwa swoich mocodawczyń. Nie znaczy to, że traktowano je dużo lepiej niż ich męskie odpowiedniki w społeczności Homos – w końcu były to reprodukcje do zaspokajania głównie instynktownych potrzeb – ale Lesbos częściej niż Homos zaspokajały te potrzeby także pomiędzy sobą, bez udziału reprodukcji. I u mężczyzn nie było to zabronione, ale oni reagowali inaczej. Po prostu, gdy jakiś Homo wpadał im w oko, starali się o uzyskanie jego reprodukcji do własnych potrzeb. Prowadziło to często do tego, że określone, szczególnie atrakcyjne osoby powielane były jako reprodukcje dość masowo.

Dopiero dobijając trzydziestki uświadomiłem sobie, jaki największy problem trapił ten homo-lesbijski świat: Nie potrafiono przejąć kontroli nad psychiczną naturą seksualną nowo narodzonych. Innymi słowy, czynniki decydujące o tym, do jakiej płci czuł się wewnętrznie przynależny dany osobnik, nie dawały się wcześniej zaprogramować. Co istotne, dotyczyło to zarówno osobników rodzących się z naturalnych poczęć (choć w obu społecznościach próbowano usilnie zatuszować fakt, że mają one w ogóle jeszcze miejsce), jak i krzyżówek oraz reprodukcji.

Ogólnie rzecz biorąc, krzyżówki, w przeciwieństwie do reprodukcji, były wynikiem zapłodnienia jajeczka przez plemniki w łonie kobiecym (zabronione poczęcie naturalne) lub w laboratorium. Mimo iż wiadano, że osobniki noszone w łonie matki wykazywały wyższe walory psychiczne, między innymi dużo wyższą odporność na stres, płody usuwano z łona tych niewielu funkcjonalnie zdolnych jeszcze do ich noszenia i ewentualnie

też rodzenia matek, aby tylko publicznie nie wyszło na jaw, że tego typu zapłodnienia mają gdzieś jeszcze w ogóle miejsce. Wbrew powszechnemu mniemaniu jednak, wiele porodów wśród członków aparatu władzy i wyższych rangą rodzin wojowników odbywało się metodą naturalną; co utrzymywano oczywiście w ścisłej tajemnicy. Tutaj większy problem mieli Homos, gdyż musieli potajemnie zakładać specjalne domy matek, w których przetrzymywano ciężarne i których musieli strzec jak oka w głowie, bo stały one oczywiście szczególnie wysoko na liście napadanych przez Lesbos obiektów.

Reprodukcje natomiast stanowiły jedynie powielenie wzorca genetycznego danego osobnika. Hodowano je bezpośrednio z pobranego z tego osobnika materiału genetycznego, z pominięciem sztucznego zapłodnienia. Reprodukcje wykazywały więc na ogół w porównaniu z krzyżówkami niższy standard jakościowy. Stały one emocjonalnie, intelektualnie i uczuciowo na niższym poziomie rozwoju i były w zasadzie – choć czasami bardzo udaną – to jednak tylko namiastką osobników ludzkich, pochodzących z krzyżówek. Tym bardziej zaś, że w celu przyspieszenia wiekowego dojrzewania – nie można bowiem było latami czekać, aż reprodukcje osiągną biologicznie pożądany wiek – hodowano je na skalę masową w specjalnych stacjach czasoprzestrzennych, przyspieszających ich rozwój i poruszających się po terytorium międzyplanetarnym, a zwanych jednostkami-matniami. Nazywano je tak zresztą nie dlatego, że miałyby mieć coś wspólnego z matkami, lecz dlatego, że były dla obu stron nietykalne; jako matnie, służące wytwarzaniu pożądanych przez wszystkich reprodukcji.

Owe zaś matnie i ich najczęściej heteroseksualni producenci, były to niemal wyłączne strefy działalności gospodarczej, nie będące pod kontrolą Lesbos i Homos. Dlaczego? Ponieważ czekano na rozwiązanie wspomnianego dylematu: mianowicie planowania pocucia rodzaju płciowości reprodukcji; z nadzieją, że rozwiązanie tego zagadnienia u reprodukcji da się z czasem przenieść na krzyżówki i rozwikła największy problem Homos i

Lesbos – pełne poczucie przynależności do własnej płci bez jakiegokolwiek zapotrzebowania na kontakty z płcią przeciwną. Była to bowiem największa plaga tego świata – miłość do płci przeciwnej. Tak piękny mógłby on być, ów świat bez miłości do własnych wrogów. Wrogów politycznych, gospodarczych, egzystencjalnych, wrogów pod każdym względem – płci przeciwnej.

I to było właśnie coś, za co z czasem zaczęła mnie nienawidzić Ataja. Bo ja byłem sto procent hetero – odczuwałem słabość do płci przeciwnej, nie zaś własnej. Słabość ta zaś oznaczała tęsknotę, potrzebę zjednoczenia się, miłość, ale i miłość erotyczną. Nie potrafiłem być erotycznie czuły dla mężczyzn, tylko dla kobiet. Napawała mnie obrzydzeniem myśl o seksie z mężczyznami. I na moje nieszczęście... kochałem się gdzieś do siedemnastego roku życia beznadziejnie w Atai. Beznadziejnie, bo Ataja była nie-hetero, co oznaczało, że mogła sobie wyobrazić szczęśliwą miłość erotyczną tylko z inną kobietą, ale nie z jakimkolwiek mężczyzną. Kiedy więc zmiarkowała, jak atrakcyjnym jestem obiektem dla tych kobiet, które od środka są jeszcze hetero, jej przyjaźń i wyrozumiałość, jakimi mnie obdarzała, zamieniły się z czasem we wrogość i cynizm; zwłaszcza zaś po tym, gdy Ataja zaprzestała być samowładną dziedziczką mojego serca, a tym samym utraciła nade mną całkowitą uczuciową władzę.

Zaczęło się od tego, że jej serdeczna przyjaciółka z lat dziecięcych i młodzieńczych, pięknooka Aiysha, zakochała się we mnie od pierwszego wejrzenia. Aiysha była młodsza od Atai, podobnie jak i ja, o cztery lata, i Ataja traktowała ją jak swoją młodszą, najukochańszą siostrę. Pech jednak chciał, że Aiysha, wykradziona zresztą jako dziewczynka z Heterolandii, była sto procent hetero, i od kiedy się tylko poznaliśmy bliżej, około szesnastego, siedemnastego roku życia, wpadliśmy sobie dogłębnie w oko. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest to tak zwana wielka miłość, stanowiliśmy bowiem we trójkę z Atają bardzo zgraną paczkę i nikt z nas nie rozumował

kategoriami erotycznymi. Zarówno bowiem Ataja, jak i ja, i Aiysha – narodziliśmy się jako arystokraci ducha i fanatyczni idealisci. Wpadliśmy jednak w fatalny układ „socjoseksualny” i fatalną czasoprzestrzeń geopolityczną. W konsekwencji, kiedy tylko Ataja zorientowała się, że między mną i Aiyshą (a było to, gdy dobijaliśmy osiemnastki, około 2375 roku) rozwija się jakaś nić porozumienia, w którym ona, wówczas już dwudziestodwuletnia Ataja, nie ma swojego udziału, zabroniła nam wszelkich kontaktów. Ponadto rozczarowanie, jakie odczuła w stosunku do mnie i Aiyshy, zbiegło się z innym dramatycznym wydarzeniem w jej życiu, mianowicie z porwaniem jej matki przez Homos. Ataja straciła więc w ciągu paru miesięcy matkę i Aiyshę, największą przyjaciółkę swego serca. Jednocześnie została na specjalnym posiedzeniu Zgromadzenia Lesbos wybrana prawie jednogłośnie na tymczasową następczynię swojej matki – była bowiem jednostką wybitną i pomimo swego idealizmu i głębokiej wrażliwości, dysponowała genialnym instynktem przywódczym, czy też raczej wodzowskim, i była przy tym piekielnie inteligentna. Dopiero z wiekiem stała się cyniczna i „homofobicznie” fanatyczna, choć nigdy nie zdała sobie z tego w pełni sprawy, gdyż jej cierpienie, spowodowane jej rozpaczliwie nieodwzajemnioną miłością do Aiyshy, zniekształcało i dysharmonizowało w niej wszystko jak w krzywym zwierciadle.

Gdzieś na początku 2376 roku Ataja postanowiła mnie i Aiyshę raz na zawsze rozdzielić. Aiysha pozostała z nią w jej królewskim pałacu, ja zaś początkowo wylądowałem w pewnej odosobnionej i pilnie strzeżonej jednostce mieszkalnej na południowy wschód od byłego Bajkału, z czasem zaś, gdy Aiysha podjęła parokrotnie próby skontaktowania się ze mną, zostałem przeniesiony do łagra więziennego dla Homos na Kamczatce, a jedynym powodem, dla którego zachowywano mnie jeszcze przy życiu, i to w nie najgorszych warunkach, była wartość mojego kodu genetyczno-reprodukcyjnego i moja pamięć astralna (o czym dowiedziałem się zresztą dopiero w wiele lat później). Moja aura była bowiem niemierzalna dla dostępnych Lesbos urządzeń

pomiarowych, a to był jeszcze jeden powód dla Atai, żeby być w stosunku do mnie nie tylko ostrożnym i podejrzliwym, ale także dobry pretekst, aby – także w oczach Zgromadzenia – uznać mnie za niebezpiecznego dla całej społeczności. Niebezpieczeństwo, które mogło się z czasem nawet przyczynić do rozniecenia czegoś, co mogłoby się przerodzić w epidemię heteroseksualizmu, a więc absolutnie w tym świecie zakazaną formę objawiania się aktywności miłosnej.

Maj 2385

Muszę uważać, albowiem pamiętnik ten piszę na własne zamówienie, na własne i istot z wyższego wymiaru, i musi on zostać napisany, aby stał się świadectwem tych czasów i przestrogą dla żyjących w innych czasach. Jak mi to potem wyjaśniał mistrz Herman: „Ci, którzy cię tu posłali, i ty sam, Slim Morano w postaci swego wyższego ja, towarzyszą ci w tym procederze, w stawaniu się tej historii, którą masz nie tylko opisać, ale i zmienić przez samą swoją obecność, przez wprowadzenie w tę odczłowieczoną rzeczywistość kodu wyższego człowieczeństwa. Zostałeś tu posłany jako trzynasty apostoł. Jako ściana światła w murach ciemności. Jako świadek zupełnie zapomnianego wymiaru – wymiaru szczęścia. Powinieneś więc stać się dla tego świata ostatecznym antidotum na jego drodze do krainy wiecznych ciemności. Ale nie tylko ty. My wszyscy – rycerze światła – my, niepokonani, gotowi na wszystko, musimy się zjednoczyć, bez względu na swoją płęć i swoje wewnętrzne poczucie płciowej przynależności. Na górze jesteśmy ze sobą zjednoczeni. Więc choćbyśmy żyli na przeciwległych krańcach tej planety, we wrogich obozach, musimy wykroić dla siebie jakiś niekontrolowany przez negatywnych cichociemnych kawałek czasoprzestrzeni i pokornie i wzniośle dać się pokierować strugom niewidocznej światłości, jedynej formie łączności z Królestwem, jaka nam stoi do dyspozycji.” Ale gdzie są moi sprzymierzeńcy, gdzie są synowie i córki światła, którzy mają wraz ze mną powrócić do ich królewskiej ojczyzny?

Nie zostałem posłany do tej rzeczywistości z napisem „Slim Morano, wasz wybawca i apostoł Najwyższego” na czole. Więcej! Kiedy sam stawałem przed lustrem, także nie widziałem żadnego napisu nad moimi brwiami, żadnego błysku w oku, żadnej świetlistej aury. A ich lustra magnetyczne, przed którymi Lesbos mnie tak często stawiały, także im nie zdradzały żadnej tajemnicy. Natomiast jedno było dla nich pewne – byłem trucizną dla ich heteroseksualnych kobiet. Miałem w sobie coś, co, ku ich rozpacz, potwierdzało, że w tym lesbijsko-transseksualnym społeczeństwie nie tylko że nie wyjątkowo, ale wręcz masowo obecne są jednostki heteroseksualne. Masowo, bo w niektórych grupach ich populacja dochodziła do pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, a nawet siedemdziesięciu procent. I choć Ataja wybierała do pilnowania mnie najbardziej doświadczone i najlepiej wyszkolone wojowniczk, nigdy nie mogła być pewna, że któraś z nich nie ulegnie swojej skrzętnie przed innymi ukrywanej, heteroseksualnej naturze, i nie stanie po mojej stronie.

Mimo iż żyłem więc w absolutnym odosobnieniu, stanowiłem dla tego społeczeństwa niebywałe zagrożenie, zagrożenie, że na nowo w nim odżyje mit heteroseksualnej miłości między kobietą i mężczyzną. Ataja najchętniej by mnie zabiła, mnie – najcenniejszy oryginał pierwowzór, rozdrapałaby mnie na kawałki, nawet gdyby Zgromadzenie miało ją wskutek tego pozbawić władzy i całkowicie zdegradować. Ale... Ataja dobrze wiedziała, że Aiysha by jej tego nigdy nie wybaczyła, że raz na zawsze utraciłaby u niej nie tylko jakiegokolwiek względy, ale i jakiegokolwiek możliwość porozumienia się z nią. I że wbiłaby ją w przepaść rozpacz, uśmierciłaby ją na żywo. Powodowana więc miłością do Aiyshy, największego skarbu jej demonicznego i dumnego serca, zapowiedziała mi kiedyś, po latach odwiedzając mnie w mojej celi:

– Czy ty ją nadal...? Chcę, żeby cię odwiedziła. Robię to dla niej, a nie dla ciebie.

Była tak piękna, że w pierwszej chwili zapomniałem o istnieniu

Aiyshy. Olśniła mnie całkowicie. Jej olbrzymie, przypominająca dwa szarobłękitne oceany oczy, miały jakąś nadludzką naturę.

– Jesteś piękna – powiedziałem.

– Wiem o tym. Nie jestem tutaj, żeby wysłuchiwać twoich komplementów.

– To nie zmienia faktu, że jesteś piękna. Piękniejsza niż cię kiedykolwiek znałem.

– Piękniejsza od niej?

– Masz na myśli Aiyshę?

Kiwnęła tylko nieznacznie głową.

– Nie wiem. Nie widziałem jej od siedmiu lat. Dzięki tobie.

– Wiesz sam, dlaczego, nie muszę ci mówić... – głos uwiązł jej w gardle.

– Zmieniłaś się...

Ataja nie wiedziała chyba, jak zareagować. Od jakichś dwóch lat nie raczyła mnie choćby na krótko odwiedzić, a wieści, które do mnie o niej docierały, opisywały ją jako krwawą, bezwzględną wojowniczkę, na samą myśl o której Homos wpadali w przerażenie. Z wyglądu znana była prawie im wszystkim, bo relacje o niej rozpowszechnione były w sieci, a jej reprodukcje nad wyraz często przetrzymywane były jako dziewczynki do bicia (a może nie tylko do bicia) w piwnicach ich domostw. Niemniej jej zła sława już obecnie, choć Ataja ukończyła dopiero co trzydzieści lat, miałaby przyćmić wśród Homos i Heteros złą sławę jej matki, przetrzymywanej przez Homos od lat w łagrze na Scotlandos.

– Czy jesteś taka bezwzględna, jak o tobie mówią? – spytałem.

– Kto mówi?... – spojrzała na mnie z mieszaniną pogardy i czegoś w rodzaju współczucia. A nie doczekawszy się żadnej reakcji z

mojej strony, odpowiedziała:

– Może? Każdy ma swoje zadanie do wykonania. Ty też.

– Co masz na myśli?

– Chcę odzyskać moją matkę.

– Matkę?... – wyjąkałem tylko, bo w tej samej chwili dotarło do mnie, co to może mieć ze mną wspólnego. Ataja nie odpowiadała, więc dodałem po chwili zduszonym głosem:

– Za mnie?

Przytaknęła tylko spokojnie głową.

– Ale przecież ja... Przecież ja nie jestem dla nich żadną przeciwwagą dla sławnej Benai Suneze. Nie wymienią jej na mnie. Twoja matka jest legendą.

Ataja chwilę odczekała, po czym wyszeptała ze spokojem:

– Ty też.

– Ja? Przecież trzymasz mnie od dziesięciu lat na tym pustkowiu.

– A twoje reprodukcje?

– Reprodukcje?

Znowu przytaknęła.

– To był bardzo dobry interes. Musisz mi to wybaczyć.

– Chcesz przez to powiedzieć...

– Jesteś sławny – wyjęła mi z ust. – Co drugi Homo ma twoją reprodukcję u siebie w saloniku.

„Dlaczego tylko co drugi?” – chciałem już zripostować, bo nie dowierzałem jej w duchu i podejrzewałem raczej, że kryje się

za tym jakaś intryga, jakaś całkiem inna historia, którą Ataja chciała przede mną przemilczeć.

– Nie wierzę ci – powiedziałem jednak tylko.

– Mało mnie to interesuje, wybacz. Zostaniesz wymieniony na moją mamę. Ona jest już bardzo stara i chciałabym ją jeszcze zobaczyć, zanim będzie za późno.

– Yhym... A co ma z tym wspólnego Aiysha? Dlaczego właśnie teraz mam się z nią zobaczyć?

– Nie ty z nią, tylko ona z tobą! Robię to dla niej, a nie dla ciebie, mówiłam ci już!

– Aha, więc to ma być dla nas takie pożegnanie...

– Coś w tym guście.

Kiwnąłem w zamyśleniu głową. Więc jednak! To miało być moje ostatnie spotkanie z Aiyshą. Po prawie dziesięciu latach, dzielących nas od rozłąki, i po siedmiu latach od ostatniego potajemnego widzenia, zobaczyć ją na parę minut tylko po to, żeby nie widzieć jej już do końca życia. Ale dla Atai była to jedyna metoda, żeby się mnie pozbyć – pod pretekstem wymiany na własną matkę – i jednocześnie jedyna metoda nienarażająca jej na całkowitą utratę wiarygodności w oczach Aiyshy.

– A co będzie – powiedziałem – jeżeli ja się nie zgodzę?

– A na co ty się możesz nie zgodzić? – w jej głosie zabrzmiał ton zbyt daleko posuniętego lekceważenia. Nasza dalsza rozmowa nie miała żadnego sensu.

W tydzień później zobaczyłem na własne oczy Aiyshę. W towarzystwie Atai. Wyglądała prawie jak jej córka. Nie jakby miała te swoje dwadzieścia osiem lat, ale co najwyżej dwadzieścia dwa, trzy. Nie mogłem się do niej przytulić i to nie tylko dlatego, że towarzyszyła jej Ataja, ale głównie ze względu na dzielącą nas pancerną szybę. Ataja postarała się

już o to, żeby nasz kontakt nie był zbyt intymny. Dla zasady. Bo przecież gdyby tak naprawdę chciała dla Aiyshy szczęścia, wywiozłaby nas gdzieś do Heterolandu i zostawiła w spokoju. Ale jej egocentryzm, jej zranione śmiertelnie serce, jej urażona duma, duma carycy Lesbolandu, oślepiały ją i obezwładniały, jak przebitą włócznią w polowaniu sarnę, która nie ma ani siły, ani możliwości, żeby się wyszarpnąć tej ogarniającej ją niemocy konania. A jedną jedyną rzeczą, która pozwoliłaby jej jeszcze o owej bolesnej i krwawiącej ranie zapomnieć, byłby galop na oślep, galop ku dolinie śmierci. Ataja była więc jak Herkules, który zgładziwszy w porwybie własną żonę i dzieci, pragnął nie pamiętać, zmazać swą winę, oddając się do dyspozycji bogów, którzy władni byli odciążyć wagę jego sumienia. Różnica polegała jednak na tym, że Ataja nie uznawała żadnych bogów. I że włócznia, który tkwiła w jej ranie, ciążyła jej więcej niż wszystkie wyrzuty sumienia, gdyż za swą niedolę, niedolę niemiłości, obwiniała wszystko i wszystkich, ale nie samą siebie. Stąd też wszystko i wszystkich traktowała jak winnych jej nieszczęścia, prawie jak zbrodniarzy, którzy wpychają jej tę włócznię tak boleśnie i głęboko. A na pierwszym miejscu listy tych zbrodniarzy nie stał kto inny, jak ja. Cała jej idylla młodzieńczego wieku, cała jej nadzieja, aby być szczęśliwym, kończyła się i zaczynała na Aiyshy. I teraz jedyną ulgą od tej własnej rozpacz, jedynym hamulcem z tego pędu na oślep, pędu ku dolinie śmierci, w czasie którego chciała jednak przecież jakoś zgubić tę raniącą ją śmiertelnie włócznię, było niszczyć tych, o których sądziła, że najboleśniej jej ją wbijają. Doprowadzając więc do mojego spotkania z Aiyshą, umyśliła sobie tym nas (a głównie mnie) jak najboleśniej dotknąć i zademonstrować nam na sobie samych to, co można by nazwać „władzą niemiłości”. Plan ten wcieliła też w życie z sadystyczną perfekcją. Pozwoliła nam w siebie wpatrywać się poprzez szybę przez dobrą godzinę, nie dając nam możliwości zamienienia choćby słowa ani żadnej okazji, żebyśmy się mogli przez chwilę dotknąć, choćby musnąć, choćby poczuć swój oddech. Ale ta godzina, godzina wpatrywania się w oczy, to

była także godzina ładowania się energią, o której istnieniu Ataja z praktyki zapewne niewiele wiedziała. Sądziła zapewne, że przenikające nas podniecenie, nie znajdując upustu w kontakcie cielesnym, nie będzie nas teraz miesiącami opuszczać, nie dając nam spać i nie dając nam zachować wewnętrznego spokoju oraz nie dając o sobie zapomnieć. Ataja rozumowała bowiem (na obecnym etapie swojego życia) kategoriami pierwszej i drugiej czakry, zamykając sobie przez swój cyniczny egocentryzm i zabójczo ślepy egoizm pomost na wyższe piętra energetycznej spirali rozwoju. Nie wiedziała, że naszych siedem przycielesnych czakr otwartych jest na oścież i że mamy ze sobą kontakt na nieznanych jej piętrach duchowości. Okazało się bowiem, że to, co mnie łączy z Aiyshą, jest czymś całkowicie uniwersalnym i wibruje gdzieś ponad czubkami naszych energetycznych ciał, zasuplając nas tak wysoko, że żadna siła na tym padole łez nie była w stanie tej więzi nie tylko rozerwać, ale, podobnie jak my sami, w ogóle pojąć. Byliśmy ze sobą zjednoczeni w jakiejś całkiem innej przestrzeni. Energia, płynąca do mnie z oczu Aiyshy, rozgrzała mnie tak, jakby w moim brzuchu wybuchła jakaś supernowa, a następnie poczułem, jak ta fala uderzeniowa, zamiast opaść w dół, w kierunku podbrzusza, wznosi się w górę, do serca, potem do szyi i do czubka głowy, a następnie jak się faliście wokół rozchodzi, niczym kręgi na wodzie, gdy ktoś wrzucił w nią ciężki kamień. Miałem wrażenie, że Aiysha przeżywa podobne uniesienie, a kiedy dotknęła swojego ciała na wysokości serca w tym samym momencie, w którym i ja poczułem to uszczęśliwiające ciepło, stało się dla nas znowu przez chwilę jasne, że to, co nas łączy, ma boską, wyższą naturę. Wiedzieliśmy, że to był akt zjednoczenia się poza czasem i przestrzenią, poza ciałem i psyche... Energia ta wzbiła nas w krąg wyższych wibracji, staliśmy się lżejsi i wolniejsi. Staliśmy się potężni. Narodziliśmy się znowu całkiem na nowo.

Czerwiec 2385 roku, jakieś dwa tygodnie później

Niecałe dwa tygodnie później zostałem pod nadzorem specjalnej, dowodzonej przez Ataję eskorty, dowieziony do punktu docelowego. Te docelowe punkty wymiany krzyżówek to były zazwyczaj miejsca pustynne. Najtrudniej było tam wpaść w jakąś nieoczekiwaną zasadzkę, gdyż na otwartym terenie lepsza była widoczność i tym samym sytuację było łatwiej kontrolować. Nie mieliśmy jednak tym razem szczęścia (jeśli w moim położeniu można było w ogóle mówić o jakimkolwiek szczęściu), bo nas zaskoczyła jedna z tych potężnych burz, które mogły wywoływać nieliniowe przesunięcia w kontinuum, a których pochodzenie tak często nie miało naturalnego charakteru, lecz było przejawem obecności ludzi Owena, potężnego gangu, zajmującego się produkcją, handlem i przemytem reprodukcji. Wywoływane sztucznie burze służyły im głównie za rodzaj zasłony dymnej, spoza której zakłócali czasoprzestrzeń, wykrzywiając ją w taki sposób, że prowadziło to między innymi do chwilowego chaosu w szeregach przeciwnika. Można się jeszcze było ratować szybką ucieczką, ale Ataja była desperatką i rzadko komu schodziła z drogi. Może gdyby przy sobie miała swoją matkę albo Aiyshę... ale przybyliśmy tu wcześniej, niż się umówiliśmy z poselstwem Homos, które miało mieć przy sobie matkę Atai, zatem jej matka nie znajdowała się w polu rażenia Owena, i Ataja poszła na całość (informacje te przekazano mi dopiero dużo później, w czasie trwania tej akcji o niczym jeszcze nie miałem większego pojęcia). Ludzie Owena wytworzyli jednak wiele fatamorgan swoich jednostek (byli w tym mistrzami) i fatamorganę jednostki macierzystej, i kiedy Ataja ze swoimi amazonkami na tych ich niedościgle zwrotnych skuterach powietrznych wściekle się na nich rzuciły, zostałem po cichu wessany do jakiegoś małego przegubowca transportowego, najwyraźniej zdalnie sterowanego, i już po chwili znalazłem się w statku macierzystym.

„Owen” (co oznaczało tyle, co koncern czy też konsorcjum Owena) nie tylko, że był największą organizacją mafijną w Słonecznym, ale dysponował też najszerszym zapleczem naukowym i laboratoriami, o jakich inni mogli tylko pomarzyć. Mimo swej potęgi nie posuwał się jednakowoż na ogół, z całkiem racjonalnych zresztą i taktycznych względów, do otwartych napadów na poselstwa. Preferował zdecydowanie przeprowadzanie korzystnych interesów. Ten napad więc był czymś wyjątkowym, trickiem, na który Ataja nie była przygotowana. Zawdzięczać to mogła jedynie jakiemuś raptownemu pogorszeniu się stosunków z Owenem lub też wyjątkowej opłacalności pójścia w tym wypadku ze strony Owena na ryzyko. Ataja chyba zbyt dalece zlekceważyła fakt, że szło tu przecież o mnie, oryginał najpopularniejszej reprodukcji w Słonecznym, którego zdobycie było dla Owena na tyle ważne, że uznał chwilowe pogorszenie się jego stosunków z Atają za mniejsze zło albo wręcz zło konieczne. Potem się dowiedziałem (co dopisuję do pamiętnika, podobnie jak cały ten ustęp, w odległej przyszłości), że Owen na parę tygodni przedtem odmówił dostarczenia Atai najnowszego modelu interlotni, choć jej to wcześniej obiecał. Jako sankcję Ataja zablokowała mu dostęp do najatrakcyjniejszych lesbińskich krzyżówek-reproduktorów z ostatniego kwartału, podczas gdy wytwarzanie z nich na bieżąco reprodukcje było dla Owena jednym z głównych „narzędzi sprawowania władzy”.

Luty 2385, Mars

Owen okradł mnie ze wszystkiego, odebrał mi nawet mój osobisty komunikator, co nie dlatego było tak złe, że oczekiwałem skrycie na kontakt z kimkolwiek lub na jakiś „ratunek”. Ważniejsze było dla mnie, że w jego pamięci zapisywałem sobie wiele ważnych informacji bądź przemyśleń do pamiętnika, aby móc je odtworzyć w bardziej może sprzyjających okolicznościach i opublikować – jako przestrogę dla tych, którzy nadchodzą z przeszłości i przyszłości.

Owen przetrzymywał mnie w osamotnionej, dużej celi, w jakimś

tam zakątku Marsa. Znajdowało się tu dokładnie tyle tlenu, ile trzeba go było, żeby nie umrzeć. O światło dzienne nikt się na Marsie nie dopytywał, bo po pierwsze prawie całe życie skupiało się tu w podziemiach bądź światłoszczelnych budowlach naziemnych (poza paroma wyjątkami, jak na przykład promienioszczelna hala głównego dworca i dromu), po drugie zaś Mars był czymś w rodzaju wolnej strefy, gdzie, hipotetycznie, nie rządziła żadna siła polityczna, ale gdzie każdy mógł rozwijać dowolnego rodzaju działalność gospodarczą i handlową. Przeważały jednak centra rozrywki. Były to całe miasta i kompleksy, obsługiwane przez dziesiątki tysięcy zamieszkujących marsjańskie slumsy, wypaczonych i zdegenerowanych krzyżówek i reprodukcji, które jednak jeszcze miały tyle cech ludzkich, że nadawały się do pracy w sektorze publicznym. Owen i paru innych pomniejszych, gospodarczych mafiozo (dziwnie jednak z Owenem powiązanych czy też od niego zależnych) panowało tu niepodzielnie nad sytuacją i jednostki niepotrafiące bądź też niechcące się dostosować do warunków życia, panujących w tym marsjańskim piekle, były po prostu eliminowane.

Mars był bardzo często odwiedzany przez Ziemiaków i właściwie to już dawno utracił status kolonii badawczej na rzecz „neutralnego” politycznie, gigantycznego, turystyczno-rozrywkowego centrum. Exodus ten rozwinął się na masową skalę zwłaszcza od czasu, kiedy Owen wpadł na pomysł organizowania masowych wycieczek do marsjańskich dzielnic rozrywki. Ponieważ większość reprodukcji była wytwarzana na krążących w okolicach Marsa satelitach-laboratoriach (zwanym matniami), wobec tego repliki reprodukcji były tu dostarczane klientom prawie że natychmiast. Ponadto panujące na Marsie warunki – z pozoru bowiem nikt nie był tu śledzony ani obserwowany – sprzyjały uprawianiu najdzikszych swawoli. Jednym słowem, była to planeta rozpusty i całkowitej swobody obyczajowej, co przyciągało coraz więcej przesiedleńców, mimo panujących tu o wiele jeszcze trudniejszych warunków bytowo-klimatycznych niż na Ziemi.

Jaką Owen miał z tego korzyść, skoro nie istniały żadne środki płatnicze, którymi można by mu było jego usługi wynagradzać? To proste – jego zarobkiem było przejmowanie kontroli. Każdemu bowiem, kto tymczasowo bądź też na stałe przebywał na Marsie, wszczepiano dodatkowy mikrochip. Z pozoru chodziło tylko o statystykę, gdyż pozwalało to odpowiednią podażą reagować na ciągle się wzmagający ruch turystyczny. Dlaczego jednak specjalne chipy wszczepiano na stałe również tym, którzy przebywali na Marsie tylko jednorazowo i nie mieli zamiaru – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – już nigdy tam powracać? Albo na stałe Mars zamieszkującym, których nie można było przecież zaliczyć do kategorii turystów? Tego pytania nie zadawali sobie ci, którym Owen oferował swoje darmowe usługi. Nie wiedzieli (a może było im to obojętne), że uwalniająca się w trakcie ich aktywności emocjonalno-seksualnej energia życiowa była gromadzona – i to nie przez tego osobnika, który na Marsie uchodził za Owena, ale przez kogoś znacznie potężniejszego niż on sam. Mikrochipy zaś ułatwiały kontrolę przepływu tej energii, minimalizowały straty i ułatwiały kontrolę stanu świadomości miejscowych „niewolników” i odwiedzających Mars petentów. Może jeszcze będę miał czas trochę szerzej o tym potem napisać.

PS. Mój komunikator Owen mi zwrócił. Ale od momentu, kiedy mi go odebrał, nawiązałem coś w rodzaju jeszcze intensywniejszego kontaktu z moim tak zwanym wyższym ja, ażeby dokładnie zapisywało wszystkie moje myśli i posyłało mnie do tych wersji mnie samego, które żyły w innych kontinuuach czasoprzestrzennych. Od tej pory pamiętnik mój stał się multidymensjonalnym zapisem medialnym, dostępnym tym moim wersjom praktycznie w nieograniczonym zakresie. Z góry muszę przeprosić jednak za ewentualne zakłócenia w odbiorze. Jeśli więc wersje mnie samego z dwudziestego pierwszego stulecia oraz z trzeciego wiecza kolonizacji Marsa z nieco innej perspektywy spoglądają na te same wydarzenia, nie miejcie do mnie o to pretensji. Nie tylko bowiem ich uwarunkowania kulturowe, ale i ograniczenia ich doczesnych umysłów

sprawiają, że opisy te nie mogą być identyczne. Toteż całkiem świadomie pozostawiam im pewien margines swobody na tym polu, prosząc tylko o jedno: wszystkie te moje przeżycia powinny być publikowane tylko pod jednym wspólnym tytułem: Pamiętnik Slima Morano. Chodzi bowiem o to, żebyście uzyskali możliwie spójny obraz całości. Całości – w sensie całości moich przeżyć i doświadczeń w poznanych przeze mnie światach.

Kwiecień/maj 2386

Uciekłem Owenowi! Z początku wcale mnie to jednak nie ucieszyło, bo nie wierzyłem już, żeby w tym świecie dwudziestego czwartego wieku żyło mi się lepiej niż delfinowi na wydmach. I i tak było mi już wszystko jedno. Mimo to cały ten czas jakaś wewnętrzna siła prowadziła mnie po nieznanej mi ścieżce, zdając się jakby od góry otaczać mnie jakimś niepostrzegalnym dla biologicznych zmysłów, energetycznym kręgiem. Ale do rzeczy! Oto jak do tego doszło.

Owen chciał podobno zrobić świetny interes i na jakichś bardzo korzystnych warunkach wymienić mnie z Homos na kilkaset innych krzyżówek-matryc. Było to możliwe, gdyż, jak potem doszło moich uszu, Rwados Queen, nowy przewodniczący Zgromadzenia Homos, chciał mnie mieć do osobistej dyspozycji; mnie, oryginał dla najbardziej rozpowszechnionej w Słonecznym reprodukcji. Nie wiem jednak, czy Owen byłby gotów mnie, ów oryginał, rzeczywiście na cokolwiek wymienić, faktem jest natomiast, że postanowił przed dokonaniem tej wymiany wprowadzić na rynek, przy uczestnictwie całego zespołu naukowego, jeszcze doskonalszą wersję mojej reprodukcji; na ile możliwe, jak mi to potem tłumaczył, nie różniącą się od oryginału. I w tym celu byłby zgoła gotów nawet mnie, oryginał, udoskonalić, aby w czasie transakcji handlowych moje bardziej nieskazitelne cieleśnie reprodukcje nie robiły na pierwszy rzut oka lepszego wrażenia niż ja, ich matryca. Ponieważ zaś mój wygląd zewnętrzny pozostawiał w owym czasie wiele do życzenia, gdyż marsjańskie, podziemne powietrze

wyraźnie mi nie służyło, a podawane mi codziennie preparaty mineralne i witaminowe nie przywracały mi pełni sił życiowych i odpowiednio zadowalającego wyglądu, Owen postanowił poddać mnie całkowitej odnowie biologicznej. Chodziło mu o to, żeby jego nowi, możni klienci mieli możliwość porównania mnie, oryginału, z nabywaną reprodukcją; i abym w tym porównaniu, jak mówił, nie wypadł gorzej od moich kopii, gdyż nikt nie dałby wtedy wiary, że to ja osobiście jestem sławetnym Slimem Morano. Mimo bowiem ogromnego rozwoju w ostatnich stuleciach czegoś, co można by nazwać naukowym okultyzmem, materializm, a zwłaszcza jego aspekt ludzko-cielesny, stał u szczytu powszechnie akceptowanego systemu wartości tego oweno-lesbo-homoidalnego uniwersum, w którym jedynym odstępstwem od normy była jeszcze tylko Heterolandia albo raczej niektóre jej regiony.

Owen dyplomatycznie przyznał, że choć moja zadziwiająca, dziecięca młodość, nadludzki urok i boska charyzma są i tak nie do podrobienia, to chodzi mu przynajmniej o to, żeby nabywca mojej udoskonalonej reprodukcji (chodziło tu o mającą wejść na rynek najnowszą wersję) nie był w stanie jej zewnętrznie odróżnić od oryginału. Mimo że ja też nie wiedziałem, skąd się ta młodość i czar u mnie brały, nie mówiąc już o charyzmie, to jednak ów tajemniczy związek, owa reakcja, zachodząca pomiędzy mną mentalnym i mną wewnętrzno-czującym, zdawała się z miesiąca na miesiąc intensyfikować (także w celi u Owena) – głównie zresztą za sprawą, jak sądziłem, mojego wewnętrznego związku z Aiyshą. Miłość do niej bowiem tkwiła w moim sercu, jak przysłowiowa strzała, ale owa strzała była jakby jednocześnie przekaźnikiem pewnej tajemnej, niezwyklej siły witalnej, która zdawała się mnie z jakąś profetyczną konsekwencją, każdego dnia, ożywiać i odmładzać.

Ponieważ Owen nikogo tak dobrze jak mnie nie traktował, musiałem zapewne być w jego mniemaniu niezwykle zadowolony ze stworzonych mi przez niego warunków bytowych, zwłaszcza zaś teraz, kiedy miał mnie za darmo „odnowić”. Nie przychodziło mu

nawet do głowy, że przy pierwszej lepszej okazji uciekłbym z jego pieleszy w podskokach, tym bardziej, że moje serce, jeśli było jeszcze dla jakiejś istoty ludzkiej na tym wszechświecie, to była to Aiysha, i byłem gotów zrobić wszystko, aby ją odszukać i, nie tylko dla siebie, ale i dla niej samej, i dla dobra ludzkości, ją ocalić. Tak też się stało – moja ucieczka doszła rzeczywiście do skutku.

Po kilkutygodniowej kuracji, w czasie której poddano mnie wielokrotnie wszelkiego rodzaju masażom magnetycznym, terapii świetlnej i wodno-molekularnej, które nie tylko że przywróciły mojej skórze zdrowszy wygląd, ale i usunęły ze mnie liczne objawy fizycznego zmęczenia, Owen (o tyle, o ile był to tak zwany Owen, o ile zaś tylko jego fizyczna projekcja zmysłowa) poinformował mnie osobiście, acz bardzo zwięźle:

– Twoja nowa reprodukcja jest gotowa. Możemy być z siebie dumni. Jesteś nie do odróżnienia.

– Ale tylko fizycznie – niby to niefrasobliwie zaoponowałem.

– To fakt. Ale nowe reprodukcje zostały tak zaprogramowane, żeby same miały się za ciebie. Każda z nich jest przekonana, że jest tobą naprawdę.

– To znaczy, że ja właściwie nie jestem ci już potrzebny...

– Chwilowo nie. Więc chcę cię na jakiś czas na kogoś wymienić.

– Na jakiś czas?

– Na jakiś czas. Zawsze znajdę sposób, żeby cię odzyskać.

– A na kogo chcesz mnie wymienić?

– Mam na oku pewną kobietę.

– Kobietę?... Znam ją?

– Może? Nie wiem. Spędziłeś prawie całe życie u Atai, musiałeś ją chyba znać.

Padł na mnie blady strach. Czyżby chodziło o Aiyshę? Ale przecież Ataja nie oddałaby jej nikomu za żadne skarby. A nawet gdyby przeżywała jakiś swój kolejny fanatyczno-schizofreniczny odjazd, nie wymieniałaby jej na mnie! Po co ja byłbym jej potrzebny? Chyba że... Chyba że nie odzyskała jeszcze swojej matki i chciała spróbować ponownie ją na mnie u Homos wymienić.

– A kto to jest? Możesz mi powiedzieć? – zapytałem go wprost.

– Ach, to nie ma znaczenia.

– No to mi powiedz. Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? – nalegałem niezbyt przebiegle.

– Bo nic z tego bym nie miał. Ja jestem człowiekiem interesów, a ty jesteś już kupiony. W jakim celu mam ci udzielać informacji, które i tak nie mogą ci się na nic przydać i za które nie możesz mi się w żaden sposób odpłacić?

Postanowiłem dać spokój. Nie chciałem, żeby się domyślił, że gdyby to była Aiysha, gotów byłbym na wszystko. Ale po chwili zaświtało mi, że chyba posiadam jednak w ręku jakiegoś nieznanego mi asa, gdyż Owen najwyraźniej nie miał zamiaru spasować:

– A co, kogoś szukasz?

Miałem już na końcu języka: „A kogo ja mogę szukać?”, ale rzuciłem tylko krótko:

– Może?...

– A kogo?

– Po co chcesz to wiedzieć?

– Może mogę ci pomóc?

– Ty mi pomóc? Przecież właśnie zamierzasz mnie wymienić na jakąś obcą mi kobietę.

Uśmiechnął się tylko z lekka, jakby miał we mnie do czynienia z jakimś niedojrzałym chłystkiem. Nie mogłem go dobrze wyczuć i przez to nie byłem do końca pewien, czy jest hetero. Jako hetero mogłoby mu osobiście zależeć na wejściu w posiadanie oryginału Aiyshy. I tego bardzo się obawiałem. Żeby go więc lepiej wyczuć, zapytałem wprost:

– Czy ty jesteś właściwie hetero?

– Interesują cię takie rzeczy? Jestem bi – odparł bez mrugnięcia okiem.

– Nie ma bi – zaproponowałem.

– Masz rację, nie ma bi. Ale ludzie myślą, że ja jestem bi. Bo jest coś takiego, jak fałszywe poczucie, że jest się bi.

– Zdaje się, że jesteś nie tylko biznesmenem, ale i psychologiem – rzuciłem na przynętę. A on, zdaje się, połknął haczyk, bo jego głos przybrał nagle bardziej rzeczowy ton.

– W moim zawodzie to konieczne. Gdybym nim nie był, miałbym stosunkowo niewielkie szanse przeżyć następny dzień.

– Jesteś naprawdę taki podły, jak o tobie mówią? Mnie jest bardzo trudno dostrzec w kimś zło.

– To jest tylko inny konieczny warunek przetrwania. Gdybym taki nie był, dawno by mnie już nie było.

– Przesadzasz. Każdy ma wolną wolę.

– Nie moralizuj, ja się nie zmienię. Mnie się ten świat podoba.

– Ale mnie nie. Nie chcę żyć w tym „twoim” świecie. Jak więc możesz mi pomóc? Co możesz mi zaofiarować i czego oczekujesz ode mnie w zamian?

– Ja jestem człowiekiem interesu. Chcę cię zaprezentować jednemu z moich najmożliwszych klientów. On jest gotów

ofiarować mi coś, co bardzo chciałbym posiąść. Coś, na czym wyjątkowo mi zależy. Ty musisz być przy nim tylko bardzo grzeczny. Musisz zachowywać się przy nim, jak twoja własna reprodukcja... najnowszej generacji.

– Jesteśmy ponoć nie do odróżnienia...

– Fizycznie tak, jak sam to zauważyłeś. Ale psychicznie... musisz być bardziej uległy. Robisz wrażenie anarchisty, rebelianta... Zrozum, nikt nie chce mieć anarchisty we własnym łóżku.

– Nawet jeśli jest przykuty do niego łańcuchami?

Wiedziałem coś niecoś o degeneracko-sadystycznych praktykach tego świata, choć wychowywałem się u boku Atai, nie mając z tego rodzaju procederami przy świadomych zmysłach w ogóle do czynienia.

– Ach, przestań – zachnął się. – Mój klient to koneser, znawca sztuki, mecenas spektakli. On działa na zlecenie Rwadosa Queena, przewodniczącego Zgromadzenia. Ale... ja nie mam zamiaru się ciebie pozbywać. Dostanie ode mnie twoją reprodukcję, będąc przekonany, że to jesteś ty osobiście, Slim Morano. To jednak człowiek z wielką kulturą, wyczuciem smaku, wrażliwością... Żadna twoja kopia nie ma twojego uroku osobistego ani blasku twoich oczu. Chcę mu więc ciebie osobiście jako obiekt wymiany przedstawić, ale przy samej wymianie... dostanie ten najnowszy model reprodukcji.

– A ja? Co ja od ciebie dostanę? Będę coś z tego w ogóle...

– Wolność – wpadł mi w pół słowa. – Będiesz wolny.

– Mówisz tak tylko, nie wierzę ci, jesteś zawodowym oszustem.

– Jak chcesz, ja od niego i tak te jego córeczki wydobędę. Jak nie tym, to innym sposobem.

– Jesteś bandytą.

– Biedaku, gdybyś wiedział, że on hoduje je na wymianę... Porwał kiedyś u Heteros pewną piękną dziewczynę, potem ją zgwałcił, mimo że sam jest homo i nie trawi kobiet, zwłaszcza pięknych kobiet, zgwałcił ją, bo chciał mieć do swojej dyspozycji pięknego młodzieńca, który byłby jego własną krzyżówką z tamtą dziewczyną. Zresztą nie ją jedną zgwałcił. Porwał i zgwałcił wiele innych pięknych kobiet, tym razem jednak z tego „poczęcia” zamiast syna przyszły na świat dwie dziewczynki, bliźniaczki dwujajowe o niezwyklej urodzie. Ponieważ ta porwana dziewczyna nie urodziła mu syna, jak tego oczekiwał, przekształcił ją w dzieło sztuki, wypełniając ją po trochu – na żywo – pewnym rodzajem chłodnego, wolno się zestalającego tworzywa, wpiąwszy ją uprzednio w ramy obrazu. Była przebojem targów sztuki u Homos szesnaście lat temu. Konała w bólach przez tydzień. Dawkowano jej dożylnie substancje odżywcze, a także środki pobudzające, gdy traciła przytomność. McDocka, bo tak się ów koneser nazywa, chwalono potem za prostotę pomysłu. Dostał złoty medal, mimo iż nie jest artystą, a jedynie, jak o sobie powiada, skromnym kolekcjonerem.

– Rzeczywiście, wrażliwy na sztukę człowiek.

– Jest też jednym z najstarszych członków Rady Nadzorczej Zgromadzenia Homos. Ale mniejsza o to... On chce się ich pozbyć, tych swoich córeczek. A ja mam na nie wielką ochotę, jak wiesz.

– To zapewne lesby – wtrąciłem dla niepoznaki, bo cały ten jego wywód zbyt daleko odbiegał od tematu naszej rozmowy, a tym samym wydawał się niewiele mieć wspólnego z jego rzeczywistymi intencjami. W duchu najbardziej się obawiałem, że zależy mu przede wszystkim na „wejściu w posiadanie” Aiyshy i że usiłuje użyć mnie jako pewnego rodzaju przynęty, a te wszystkie jego dygresje służą mu tylko do zamydlenia mi oczu. Ale słuchałem spokojnie dalej.

– No i? Tym lepsza zabawa – kontynuował. – Widziałem je kiedyś. Są w sobie po uszy zakochane. Takie nierozłączki,

jedna czarna, druga blond. Praktycznie wszystko można na nich wymóc, jedna dla drugiej zdolna jest do wszystkiego. Kiedy już mi się znudzą, zostaną odpowiednio przebadane i wypuszczę je na rynek jako reprodukcje. To będzie przebój sezonu: Anita i Benita, bliźniaczki.

Jego zwierzeniom przysłuchiwałem się w coraz to bardziej pochmurnym zamyśleniu. Nadal zastanawiałem się, po co on mi to wszystko opowiada. Po chwili Owen sam mi to niby wyjaśnił:

– Teraz wiesz, że mi na nich naprawdę zależy. I może rozumiesz, że chwilowo na tobie nie. Nie będziesz mi przez najbliższy czas do niczego potrzebny. Ale jeżeli one obie wpadną mi w ręce, nagrodzę cię potrójnie. Po pierwsze odzyskasz wolność. Będziesz mógł iść, gdzie cię oczy poniosą. Dostaniesz do dyspozycji najnowszą jednostkę i możesz polecieć, gdzie chcesz – do Atai, do Heteros, do Homos – jako wolny człowiek.

Po drugie, musisz wiedzieć, że ja należę do ludzi najlepiej poinformowanych w całym Słonecznym. Więc także dobrze wiem, kogo szukasz. Osobę tę... wykradłem podstępnie z Lesbolandu, oszukawszy Ataję. Atai powiedziałem, że mam jej matkę, chociaż, nie wiem, czy o tym wiesz, jej matka już dawno nie żyje. Była tak potworną zołą, że poprzedni przewodniczący Zgromadzenia Homos, mimo że był to spokojny człowiek, osobiście odciął jej język i wetknął jej go do gardła, żeby nie mogła już z siebie wydusić ani słowa. Matka Atai, piękna Benai Suneze, wpadła bowiem w kompletne rozstrojenie nerwowe i była już nawet zmorą dla kławiszy więziennych na Scotlandos. To tylko szczęście dla Atai, że nie zobaczyła swojej matki w tym stanie. Ale miałem bardzo dobrą reprodukcję podstarzałej Benai. I Ataja zgodziła się na tę wymianę: Aiyshę za matkę...

Owen urwał. Zapewne, żeby zaobserwować moją reakcję. A mnie przeszył co prawda wewnętrzny dreszcz, kiedy powiedział, że znalazł „tę osobę”, mając na myśli Aiyshę, ale ponieważ w zasadzie spodziewałem się, że to całe spotkanie to może być

pewnego rodzaju test, jak na Aiyshę reaguję i na ile czuję się z nią związany, zdołałem i teraz na tyle nad sobą zapanować, że Owen poczuł się chyba lekko zawiedziony. Po chwili kontynuował:

– Zaryzykowała. Nie była gotowa oddać mi Aiyshy, a jednocześnie chciała odzyskać swoją matkę. I w swoim histerycznym samozaparciu postawiła to sobie za cel. To desperackie zaciętrzewienie mało co nie kosztowało jej życia. Chciałem bowiem przy tej okazji nie tylko Aiyshę, ale i ją samą, Ataję Suneze, sobie... – szukał odpowiedniego słowa.

– Przywłaszczyc – skończyłem za niego. I pomyślałem sobie, że Ataja nigdy by nie naraziła na niebezpieczeństwo Aiyshy. Chociaż po tych przejściach... może było jej już wszystko jedno?

– Niech będzie – potwierdził. – Ale jej nie doceniłem. W walce jest niepokonana. Była oczywiście dobrze przygotowana. Nie ufała mi po tym incydencie z tobą. I rozwaliła mi siedemnaście jednostek. Ona ma to swoje laserowe lasso. Wiesz coś o tym?

Dziwne pytanie, jak na najlepiej zorientowanego szpicla w Słonecznym – pomyślałem. I pod niewłaściwym adresem. Bo nawet gdybym coś wiedział i zechciał go o tym poinformować, to wartość moich doniesień na tematy zbrojeniowe, jako zupełnego dyletanta w tym zakresie, o czym Owen musiał dobrze wiedzieć, była równa zeru. Ponadto nigdy nie widziałem Atai w ogniu walki, nawet wtedy, kiedy mnie Owen porwał jej wprost sprzed nosa. Wiedziałem tylko, że krążyły o niej legendy. Po co więc Owen zadał mi to pytanie? Znowu chciał osłabić moją czujność? Zaprzeczyłem więc tylko nieznacznie głową.

– Dobrze, że mnie tam osobiście nie było – kontynuował, tym razem wyrysowując na swojej przypominającej płaskorzeźbę fizjonomii minę, jaką mógłby zrobić stary weteran wojenny na myśl o najważniejszej zwycięskiej bitwie w swojej wojskowej karierze. – Jeszcze mogłoby mi się dostać. Ale Aiyshę miała ze sobą. Trochę zraniło ją w tej potyczce. Teraz jest już po

rekonwalescencji. Ma tylko jeszcze pewne problemy z prawym kolaniem. Jest trochę sztywne. Ale poza tym jest okej.

– Nie wierzę ci. Nie wierzę ci, że masz Aiyshę.

– Nie?... Możesz ją zobaczyć. Osobiście. Możesz z nią spędzić nawet cały tydzień. Oczywiście pod moim nadzorem. Na razie jeszcze nie wykupiłeś się na wolność...

Nie wierzyłem mu i tak, więc kiedy spytał ponownie, czy chcę z Aiyshą spędzić parę dni, przytaknąłem wprawdzie, ale byłem święcie przekonany, że coś symuluje i że to jakaś nowa pułapka. Nie wiedziałem tylko jeszcze wtedy, że to pułapka na niego samego.

– Dobrze, więc jeżeli naprawdę chcesz się z nią zobaczyć... musisz mi jeszcze – i to jest warunek – coś poprzysiąc.

Zrobił krótką przerwę.

– Musisz mi przysiąc – zaakcentował bardziej zdecydowanie – że w swoim pamiętniku nie zgotujesz mi żadnego złego losu. Musisz, słowem, wykreować mnie na zarządcę całego imperium. Tak, jak sobie to umyśliłem.

– Zaskoczyłeś mnie – rzuciłem niezbyt radośnie. – Czegoś takiego... nie oczekiwałem. Chcesz, żebym w moim pamiętniku opisał jeszcze nie istniejącą rzeczywistość w taki sposób, aby stała się ona tąże rzeczywistością? Rzeczywistością pożądaną przez ciebie?

– Dokładnie tak. Chcę, żebyś mnie na władcę całego imperium w niej wykreował.

– Ale przecież... jeżeli mogę ciebie wykreować na władcę, to chyba również mogę wykreować... moje spotkanie z Aiyshą bez twojego udziału.

– Nie możesz. O ile wiem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie znasz tej zasady? Jeszcze się nie domyśliłeś? Twój własny świat jest sumą tego, co cię otacza, sumą osobistych światów innych ludzi. Nie możesz więc zaczynać od siebie.

– Rozumiem. Inaczej mówiąc, dopóki ty nie będziesz obsłużony, nie nadeszła jeszcze moja kolejka.

– Na to wygląda. Ale to ty jesteś podłączony do źródła. Niestety. I kreujesz ten sektor rzeczywistości. Mam takie informacje. A moje informacje są dosyć pewne, jak wiesz.

– I... czego w takim razie ode mnie oczekujesz?

– Chcę się od ciebie uniezależnić. Więc proponuję ci ten układ: ty jako kreator wykreujesz mnie na niezależnego kreatora własnego imperium. To leży w granicach twoich możliwości. W zamian za to dostaniesz Aiyshę.

– To znowu jakiś twój podstęp.

– To nie jest żaden podstęp. A poza tym – co masz do stracenia?

Powiedziałem mu, że muszę się jeszcze zastanowić. Miałem jednak poważne opory, aby przyczynić się do jego śmierdzącego interesu z siostrami, a mówiąc szczerze, zastanawiałem się, czy jakimś fortem nie udałoby się może ich uratować. Nigdy bowiem nie powróciłyby już do jakiegokolwiek psychicznej równowagi, gdyby Owen naprawdę przepuścił je przez ten sadystyczny młyn swoich najniższych instynktów. Jego zdegenerowany sadyzm przekraczał wielokrotnie granice przyswajalności pojedynczej jednostki ludzkiej. To, o czym później dowiedziałem się w Heterolandzie, zaczynałem już teraz na dobre podejrzewać, a mianowicie, że ten mój „unitypalny” Owen-rozmówca jest tylko odnogą jakiejś dużo potężniejszej, galaktycznej organizacji pod zarządem właściwego Owena; ten zaś tutaj był tylko jego ludzko-biologiczną macką, podczas gdy

Owen właściwy musiał być czymś w rodzaju demiurgicznej matni, która jako innowymiarowa istota o niedającym się myślą objąć zasięgu wpływów, odżywiała się emocjami swoich agentów na innych poziomach egzystencji. Ale mimo że istota ta bądź też ów monstrualny stwór zatrzymał się w swoim rozwoju emocjonalnym na bardzo niskim poziomie, i mimo zła, jakie sobą reprezentował, dysponował zupełnie niewyobrażalnym zakresem władzy, także czarnomagicznej władzy spirytualnej czy też duchowej. Władza ta zaś kończyła się dopiero tam, gdzie natrafiał na nieprzystosowujące się do jego emocjonalnych potrzeb osobniki. Jako że byłem zaś jednym z tych osobników, demiurg ów próbował mnie wszelkimi sposobami zwieść z mojej prawej drogi – lub, o ile można by ją też tak nazwać, drogi wyższej moralności – i podtykał mi wtyczki w rodzaju Owena, jednego ze swoich biologicznych respondentów w Słonecznym, abym popełnił jakiś etyczny błąd, przekroczył pewien istotny nakaz, co mogłoby z kolei pozostawić pewną rysę na mojej duchowej „powierzchności” i w jakimś stopniu umożliwić mu dostęp do świata moich emocji. Dodałem więc niby to całkiem szczerze:

– Nie wiem, czy będę miał sumienie poprzeć twój plan co do Anity i Benity. Po prostu wątpię, żebym był w stanie się na to zdobyć.

– To mogę cię uspokoić. Gdyby taki ktoś jak ty dostał się w ich ręce, z sadystyczną precyzją zameczyłyby go na śmierć. One nie tolerują facetów, którzy mają wzięcie u kobiet. Nienawidzą ich. Tak jak Ataja. A taki piękniś jak ty to jest już dla nich ostateczność, niemający w tym świecie prawa egzystencji wybryk natury. Wiesz też chyba, że Ataja najchętniej wbiłaby cię na pal i przeznaczyła głodnym szczurom na pożarcie... I że już dawno by to zrobiła, gdybyś nie był dla ich Zgromadzenia zbyt cennym zakładnikiem na wymianę.

Nie zaprzeczałem Owenowi, to nie miało sensu. Gdyby rzeczywiście miał w swoich rękach Aiyshę, argumentowałby inaczej. Takie miałem wrażenie. Ale ponieważ ponownie mi

obiecał, że się z nią zobaczę, na razie zgodziłem się zatem, że trochę „poćwiczę”. Miałem spotkać się parę razy z moją najnowocześniejszą reprodukcją i postarać wychwycić różnice w jej zachowaniu i postępowaniu w stosunku do mnie samego. Wszystko to zaś po to, żebym dostosował się do jej poziomu emocjonalnego, który cechowała przede wszystkim dużo większa powściągliwość reakcji, i tym samym stał się dla innych nie do odróżnienia: ja od mojej reprodukcji. Po dwóch dniach tych moich „rekolekcji” Owen chciał zrobić pierwszą próbę i pojechaliśmy marsjańską nawierzchniową kolejką podciśnieniową (w skrócie NKP) z wizytą do pewnego handlarza reprodukcji, oczywiście w asyście odpowiedniej obstawy. Owen chciał się praktycznie przekonać, czy jestem jeszcze do odróżnienia. Zamierzał temuż handlarzowi przedstawić mnie i moją kopię jako dwie reprodukcje, między którymi występowałoby tylko parę drobnych różnic. A ten znajomy handlarz miał mu – o całym podstępnie, jak się Owenowi wydawało, nic nie wiedząc – pomóc w ocenie, która z prezentowanych dwóch reprodukcji robi lepsze wrażenie i którą należałoby zatem przeznaczyć do produkcji seryjnej. Moim zadaniem było specjalnie się nie wychylać i tylko uparcie twierdzić, że jestem oryginałem. Bo tak też była zaprogramowana ta najnowsza seria: każda kopia uważała się za oryginał, choć oryginał, hm, był tylko jeden.

Zostaliśmy zaproszeni do dużej, znajdującej się na zapleczu, specjalnie dla nas wynajętej sali w pewnym bardzo znanym lokalu, wraz zresztą z paroma innymi osobistościami ze świata biznesu. Zadbano oczywiście nie tylko o odpowiednią atmosferę, ale zwłaszcza o stronę kulinarną, tak jakby od tego było zależne, czy Owenowi się naszych gości odpowiednio uda wyprowadzić w pole. Po raz pierwszy miałem okazję zakosztować takich przysmaków jak wspaniale przyrządzone kartofle kukurydziane w sosie własnym czy też (super soczyste) liście palmowe z kruszonką bananową. Dania te i wiele innych przysmaków, jakie nam podano, były, nie tylko zresztą na Marsie, czymś wielce wyszukanym, z czego, jak sądziłem, można było wnosić o niezwyklej randze tego bądź co bądź

półprywatnego spotkania. W pewnym momencie musiałem skorzystać z toalety, która znajdowała się w holu po lewej, przed naszą prywatną salą jadalną, a ponieważ paru innych zaproszonych uczyniło to już przede mną, można było moją reakcję uznać za hipernaturalną, gdyż reprodukcje miały zbliżone do ludzkich potrzeby biologiczne. Ja sam również jeszcze niczego nie podejrzewałem i wybrałem się po prostu do toalety. Towarzyszył mi pewien bysio z osobistej obstawy Owena, jako że było powszechnie wiadome, że reprodukcjom nie wolno samodzielnie się poruszać poza ich siedliskami mieszkalnymi.

Kiedy wychodziłem z toalety, spoza drzwi sąsiadującej po prawej z holem sali wyparowała nagle na nas młoda kobieta i zanim mój stójkowy zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, obezwładniła go bezgłośnie i z taką łatwością, jakby był jakąś małą, nakręcaną zabawką, a jednocześnie tak skutecznie, że zdawał się nie okazywać żadnych oznak życia, a następnie, wciągając go za nogi do toalety, rzuciła do mnie krótko:

– Moment, zaraz wracam.

Po parunastu sekundach wyszła z toalety, rozwinęła szybko jakiś ciemnobieżowy płaszcz z lekkiego tworzywa, podała mi go i powiedziała:

– Jesteś wolny. Narzuć to na siebie. Mamy mało czasu. Wejdiesz za mną do tej sali – w tym momencie zrobiła lekki ruch ręką ukośnie na lewo od moich pleców. – Pozostaniesz za mną w odległości około czterech metrów. Podejdę do stolika i usiądę. Ty wyjdiesz na zewnątrz. Gdyby się ktoś ciebie czepiał, nie bój się, mam na zewnątrz i w środku paru swoich ludzi. Jeden z nich podejdzie do ciebie, gdy będziesz na zewnątrz, i powie: „Slim, mam dla ciebie pamiątkę z wycieczki na Jo. Chodź ze mną.” Wtedy odejdziecie razem.

Nie byłem wcale taki pewny, że teraz, kiedy istniał cień nadziei, że rzeczywiście mogę odzyskać Aiyshę, powinienem uciekać Owenowi. Z drugiej jednak strony mu nie ufałem, a

skoro zostałem porwany, nie mógł przecież mieć do mnie pretensji o „zdradę” albo niełojalność. Ta ucieczka zaś to mogła być także szansa, żeby się czegoś o mojej sytuacji dowiedzieć. I o sytuacji w ogóle. I oczywiście, a może przede wszystkim, czegoś o Aiyshy. Poza tym ta dziewczyna bardzo mi zaimponowała. Z jednej strony była całkowicie bezpretensjonalna i traktowała całą tę akcję jak chleb absolutnie powszedni, jak jakąś typową, rutynową zagrywkę, z drugiej zaś wzbudzała moje zaufanie swoją bezpośredniością i powściągliwością oraz, jak wynikało z jej zachowania, zadziwiającą znajomością mego położenia.

– Kim ty właściwie jesteś? – spytałem.

– Mów mi Klaudia. Na razie musi ci to wystarczyć.

Następnie odwróciła się i wyruszyła w kierunku wiadomej sali. Po chwili odchyliła do tyłu głowę i rzuciła do mnie krótko:

– A teraz policz do dwóch i idź za mną.

Klaudia „otworzyła” drzwi (na Marsie najbardziej rozpowszechnione były drzwi, rozsuwające się odśrodkowo po wpływie dotyku pola magnetycznego zbliżającej się osoby lub grupy), lecz kiedy drzwi się za nią już zasuwały, za moimi plecami wynurzył się nagle Owen i jego dwóch ochroniarzy. Drzwi już właśnie zaczęły się ponownie przede mną otwierać, ale zanim się otworzyły, obydwaj ochroniarze stali już przy mnie. W tej sytuacji ujrzała mnie Klaudia, czekająca, wbrew umowie, tuż za drzwiami.

– Czułam coś – powiedziała i, nazwijmy to tak, wkroczyła do akcji. Trwało to może niecałą sekundę, i obaj ochroniarze leżeli na ziemi. Jeden z rodzajem płaskiego szpikulca w oku, drugi z głęboko rozciętą krtanią i na pół odciętą głową. Owen zdążył tylko krzyknąć „Znowu ona!” i skrył się co tchu za rogiem. Klaudia natomiast pociągnęła mnie za rękę do tej głównej sali restauracyjnej, której progi przekroczyć miałem w nieco mniej podejrzanych okolicznościach, i szybko zmierzając

do głównego wyjścia z lokalu, w którym zresztą nikt nie zdawał się tego, co się działo, zauważać, rzuciła jeszcze poufnie w progu do młodego, najwyraźniej będącego jej człowiekiem mężczyzny:

– Żadnych świadków.

Na pobliskiej stacji NKP wsiedliśmy do metra. Klaudia zaleciła mi możliwie spokojnie się zachowywać.

– Nie każdy może sobie pozwolić na taką dobrą reprodukcję Slima Morano. Miałam dla ciebie przebranie, ale mój plan nie wypalił, więc jesteś teraz dla wielu ludzi na ulicy przedmiotem pożądania.

– Dokąd jedziemy? – spytałem rzeczowo, ignorując jej spekulacje co do mojej osoby.

– Zobaczysz. Musimy wydostać się z Marsa. Owen ma tu wszędzie swoich ludzi.

– Dlaczego powiedziałaś do tego młodego człowieka „żadnych świadków”?

– Do Johna. To moja prawa ręka. Nie mogę sobie pozwolić, aby rozpoznawano mnie na ulicy.

– Ale Owen cię widział. Powiedział nawet „znowu ona”.

– To nie był Owen, tylko jedna z jego atrap. Prawdziwego Owena nikt nie widział. A ten, z którym tam byłeś, już nie istnieje. Mam nadzieję w każdym razie.

– Ale on już cię kiedyś musiał zobaczyć.

– Nie musiał. Kolejne wersje Owena, i nie tylko Owena, mają wszczepiane w pamięć pewne bloki pamięciowe. Mogą też być w stałym kontakcie z bazą, która im na bieżąco przekazuje pewne sugestie lub też nawet całkowicie przejmując nad nimi kontrolę i niejako mówi ich ustami. A w tej zbiorowej pamięci ich bazy

jestem z pewnością od dawna zarejestrowana. Ale ja też nie jestem pojedyncza. To znaczy krąży różne moje podobizny po okolicy.

– Reprodukcje?

– W naszym przypadku są to tylko reprodukcje, a nie inne wersje nas samych, jak jest to w przypadku Owena. Nawet właśnie w tej chwili krąży po Marsie kilka moich atrap z paroma różnymi kopiami Slima Morano. Słuchaj, teraz coś ważnego – zmieniła nagle temat. – Wiesz, gdzie ci wszczepili chip?

– Chyba tu – podniosłem rękę do prawego ucha.

– Nie rób takich gestów... Żadnych gestów. Za uchem? To typowe. Zbyt typowe. Ale może Owen nie liczył się z tym, że mu znikniesz wprost sprzed nosa. To był dobry numer. Ale teraz muszę cię sprawdzić. Zanim przesiądziesz się na mój wózek.

– A czy... ludzie Owena nas nie śledzą? Nie wiedzą, gdzie jesteśmy?

– Usiłują. Ale ja mam przy sobie zagłuszacz. I John też. Więc jeżeli jesteś bezpośrednio w naszej okolicy, nie mogą cię kontrolować. Mam nadzieję, że nie.

Dojechaliśmy do ostatniej stacji, po czym Klaudia zaciągnęła mnie w holu wyjściowym w jakiś ciemny kąt i nie zważając na zerkających na nas od czasu do czasu przechodniów, powiedziała, wepchnąwszy mnie za jakąś ściankę w wąskim przejściu do przebiegającego obok równolegle tunelu komunikacyjnego:

– Odwróć się tyłem. Nikogo nie interesuje, co my tu robimy, dopóki nie jesteśmy groźni dla otoczenia. Ale gdyby jakiś wścibski agent albo urzędnik chciał się upewnić, czy jesteś legalną reprodukcją Slima, możemy mieć niepotrzebne kłopoty. Sprawdziłam cię, masz dwa chipy, oba za uszami. Muszę cię

teraz trochę znieczulić.

Podniosła mi od tyłu koszulę (nazwa „koszula” jest bardzo stara i zachowała się głównie na Marsie; oznacza ona każdy rodzaj nakrycia wierzchniego, nakładanego na górną część ciała), dotknęła jakimś niewielkim przedmiotem moich pleców na wysokości krzyża, mówiąc jednocześnie „teraz ci wyłączam na chwilę akumulator”, w następstwie czego poczułem coś w rodzaju krótkotrwałego bezwładu wszystkich członków, a po chwili było już po krzyku.

– Poczekaj, muszę ci jeszcze przypudrować te zranienia przy uszach...

– Przypudrować?

– Tak się mówi. To znaczy... zakleić. Bo nie mam przy sobie regeneratora. Ale te ranki są minimalne. Chodzi tylko o to, żebyś nie nabawił się jakiejś marsjańskiej zarazy.

Po chwili powiedziała:

– Gotowe. Bolało?

– Trochę.

– Nie jestem medykiem. Ani nawet chyba nie mogłabym nim być. Ale nie mogliśmy czekać.

– Dlaczego? Ten chip to taki sygnalizator?

– Nie tylko. Lepiej byłoby powiedzieć „kontroler”.

– A twój zagłuszcacz? Nie mogłabyś mnie cały czas zagłuszać?

– Mogłabym. Ale nie będę z tobą chodziła cały czas za rączkę, nie jestem twoją mamusią. Raczej odwrotnie.

– Co masz na myśli?

– Potem się dowiesz. Ale na Lolę nie mogłabym cię z tymi

chipami zabrać. Bylibyśmy dla Owena samonaprowadzającym się celem...

– Na Lolę? Powiedziałaś „na Lolę”...

– Tak, to mój wózek. Zobaczysz.

– A co z moimi chipami zrobiłaś?

– Zdezaktywizowałam je. Potem dostanie je być może kto inny.

– Kto na przykład?

– A co, jest ci nieswojo, wszczepić ci je z powrotem?... – zakpiła sobie. – Zachowujesz się, jakbyś spadł z Księżyca... Te wszczepy może dostać ktokolwiek, jakiś człowiek na ulicy w czasie jakiejś akcji. Albo jakaś twoja reprodukcja. Dla zmyłki. Albo nikt ich już nie dostanie. Też możliwe.

Szliśmy szybko po ruchomym chodniku, ciągnącym się daleko, w głąb bardzo długiego i przestronnego holu, mijając co jakiś czas innych, znajdujących się w drodze. Ruch jednak nie był tu zbyt duży.

– Słuchaj... – zacząłem. – Ja mam jeden problem...

– Ja też. I to nie jeden.

– Ale ja nie żartuję. Owen ma kogoś, na kim mi bardzo zależy.

– Kogo?

– Pewną...

– Nie ma jej.

– Skąd wiesz.

– Bo działałam na jej zlecenie.

– Na zlecenie Aiyshy? – wyrwało mi się.

- Zobaczysz. Nie bądź taki ciekaw.
- A ty nie traktuj mnie, jak swojego małego braciszka. Mogłabyś być moją córką.
- Zdaje się, że trafiłeś w dziesiątkę.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nic.
- Znowu zaczynasz. Musisz być taka tajemnicza? A co będzie, jeżeli wrócę teraz z powrotem do Owena?
- Nic nie będzie.

– To wracam – powiedziałem i stanąłem w miejscu, na brzegu poruszającego się dywanochodnika. Nie wiedziałem jednak, co dalej zrobić, bowiem chodnik rwał do przodu z szybkością przynajmniej tych trzydziestu kilometrów na godzinę i nie byłoby łatwo z niego zeskoczyć, tym bardziej, że z obu stron okalały go mniej więcej na metr wysokie barierki. Wtedy Klaudia przyparła mnie do tej zewnętrznej poręczy z niesłychanym jak na jej dziewczęcą sylwetkę impetem i wyszeptała mi prosto w oczy:

- Nigdzie nie wracasz, jasne?

Spuściłem tylko wzrok i nic nie powiedziałem. Bo w tym samym momencie przypomniałem sobie tych trzech ochroniarzy Owena, zwłaszcza zaś tego z nożem czy też czymś w rodzaju noża w oku.

Po chwili chodnik się skończył i znaleźliśmy się na dużym rondzie, gdzie krzyżowało się ze sobą wiele korytarzy i ruchomych chodników.

- Mam sygnał, zaraz tu będą.
- Kto?
- Moi ludzie.

– Wepchnęła mnie do jakiejś małej celki, jednej z kilkunastu na lewym skrzydle tego gigantycznego skrzyżowania i krótko skomentowała:

– To jest toaleta...

– Toaleta?

– Tak. Poczekasz tu chwilę na Johna. Tego młodego, z lokalu. Kiedy do ciebie podejdzie, pójdiesz z nim dalej. Nie mogę z tobą jako osoba rodzaju żeńskiego w pojedynkę wejść do stacji lotów, bo wzbudziłoby by to być może u co poniektórych zbyt wiele ciekawości. Mimo że jesteśmy na Marsie. Rozumiesz?

– Rozumiem... – przytaknąłem bez przekonania.

– Ja już idę. Będę was miała na oku.

Rozejrzałem się wokoło i doszedłem do wniosku, że to była jakaś najnowsza, nieznana mi jeszcze generacja toalet. Ale byliśmy na Marsie... Zanim zdążyłem się nad swoją sytuacją przez chwilę głębiej zastanowić, stało się, jak mówiła Klaudia. John podszedł wprost do mojej „wnęki”. Nie wiedziałem wprawdzie, jak mnie odnalazł, skoro miałem być niewidoczny od zewnątrz, ale pomyślałem, że może Klaudia założyła mi na miejsce starego jakiś nowy chip, żebym im gdzieś nie przepadł. John stanął tak, jakby chciał mnie zakryć w momencie, kiedy będę z mojej toalety wychodził. Był wysoki, dobrze zbudowany, dosyć przystojny, ale przede wszystkim emanował jakąś wielką wewnętrzną równowagą, opanowaniem, mimo swojego bardzo młodego wyglądu (szacunkowo jakieś dwadzieścia sześć lat). Po chwili kiwnął mi, żebym wyszedł i do mnie powiedział:

– Zachowuj się, jak byś był moją własnością, moją prywatną repliką Slima Morano. Idź koło mnie spokojnie i nie rób gwałtownych ruchów. Może się zdarzyć, że ktoś nas zaczepi, jakiś agent Owena. Nie odzywaj się. W ogóle i pod żadnym pozorem. Gdyby doszło do jakiejś scysji z agentami, chowaj się zawsze za moim plecami. Nie próbuj też uciekać, żywego cię i

tak im nie oddamy.

– Czy wy nie jesteście czymś w rodzaju brygady terrorystycznej?

– Na to pytanie nie mogę ci dać teraz precyzyjnej odpowiedzi. Musisz mieć jeszcze trochę cierpliwości.

Z kolejnego korytarza weszliśmy właśnie do gigantycznej, kopulastej hali dworcowej, do której zewsząd dochodziły podobne do naszego korytarze z chodnikami i inne hole. Panował tu ogromny ruch. Po prawej, do wysokości czterech, pięciu pięter wznosiły się podłużne platformy, osiągalne za pomocą licznych, niewielkich wind oraz pewnego rodzaju wąskich, ruchomych schodów. Środek był zdominowany przez inne ruchome schody, szerokie chyba na dwadzieścia metrów i przypominające z wyglądu bardziej jakąś w górę płynącą rzekę, która wznosiła się do poziomu trzeciego piętra i przechodziła w olbrzymią, owalno-łukowatą bramę, a potem w jakąś kolejną, ogromną halę. Ponadto wszędzie były widoczne, na wszystkich piętrach i wysokościach, setki węższych korytarzyków i przejść.

Szczęśliwie dotarliśmy windą do najwyższego poziomu, weszliśmy w jeden z łukowatych, wysokich gdzieś na trzy metry korytarzy, czy też raczej tuneli wyjściowych, i kiedy dochodziliśmy już do hangaru parkingowego, w którym stały setki najdziwniejszych, w większości latających pojazdów, podszedł do nas ubrany w czarny, obcisły strój jegomość. John zdążył tylko jeszcze wyszeptać, że to strażnik, zanim tamten zwrócił się do nas:

– Mój szef poszukuje zaginionej reprodukcji, identycznej z tą tutaj. Czy mogę wykonać pomiar?

– Możesz – odpowiedział szybko John, jak gdyby nigdy nic. Gość wyciągnął z kieszeni rodzaj małego, okrągłego czujnika, podobnego trochę do urządzenia, jakie widziałem u Klaudii i jakim mnie potem „znieczuliła”. Cofnąłem się więc odruchowo. John jednak uspokoił mnie zza jego pleców ruchem ręki.

– W porządku – skwitował przeciągle strażnik. Ale John nie dał mu wiary. I w tym samym momencie, rozejrzawszy się uprzednio dyskretnie, skręcił mu dosłownie w ułamku sekundy kark, jednocześnie natychmiast nakłuwając mu jakimś szpikulcem szyję. Następnie wyjął zza pasa coś, co wyglądało jak jakiś pojemnik na osobiste drobiazgi, jaki to wielu przybyłych na Marsa nosiło przy sobie, przystawił mu wystającą z niego małą rurkę do tkwiącego w szyi szpikulca, i wtedy gość ów na moich oczach rozpadł się na pył, który John tym samym urządzonek, niczym odkurzaczem, wciągnął do środka.

Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Uświadomiło mi to jednocześnie, jak mało znane mi były techniczne „nowinki” cywilizacji, w której, choć przez większość mojego życia niemal całkowicie odizolowany od otoczenia, przecież jednak żyłem.

– Czy zamierzacie ze mną zrobić coś podobnego? – spytałem kpiąco.

– Reprodukcyi się nie neutralizuje – odpowiedział, uśmiechając się przyjaźnie. – Na ogół nie ma takiej potrzeby. Ponadto reprodukcje posiadają wbudowane fabryczne identyfikatory, rodzaj rdzeni rozpoznawczych, które nie podlegają tak łatwo procesowi neutralizacji. Ale teraz... musimy się pospieszyć, bo przy następnej takiej okazji może już nas ktoś zdążyć namierzyć. Na razie dla ich systemów kontroli jakby nie istniejemy, bo nie mamy zainstalowanych żadnych czujników nadawczych.

– Masz na myśli te chipy, które mi Klaudia wyjęła zza uszu?

– Tak, to też były czujniki.

Po paru minutach wchodziliśmy już na pokład Loli. Był to stosunkowo mały wózek, ale nie jedyny tego rodzaju w hangarze. Miał kształt mocno spłaszczonej kuli, około dziesięciu metrów średnicy w poziomie i około sześciu w pionie. Na obwodzie, gdzieś w połowie wysokości zwężał się w ostry, wąski brzeg, co

robiło wrażenie, jakby otaczał go wokół szarometalowy pierścień.

Szeroki, dwumetrowy właz znajdował się tuż przy powierzchni dromu, jak nazywano tu na Marsie wszystkie pokłady startowe. Weszliśmy do środka.

– Wszystko w porządku? – spytała Klaudia.

– Tak, musiałem tylko jednego zneutralizować.

– Gdzie?

– Przy wejściu do dromu.

– Wtedy już was straciłam z oczu. Widział was ktoś?

– Chyba nie.

– Nie mów do mnie „chyba”, John. Wiesz, jak tego nie lubię.

John spojrzał krótko w dół, lojalnie niejako przyznając się do błędu.

– Pegi, gramol się stąd – rzuciła następnie Klaudia do pulchnej rudzielicy o dość jasnej, sympatycznej karnacji. Osoba ta zdawała się mieć pod swoją opieką coś w rodzaju pulpitu sterowniczo-komunikacyjnego. Jak wynikało z reakcji Pegi, „gramol się” oznaczało tyle co „startuj”, gdyż w chwilę potem unieśliśmy się z wolna, wlecieli w otwierającą się przed nami śluzę wylotową, która się po chwili od dołu zamknęła, aby od góry się z kolei otworzyć. Poszło to bardzo sprawnie. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Nad nami jaśniało lekkim przedświtem nocne jeszcze niebo.

– Teraz czadu – powiedziała Klaudia do Pegi. – Zanim się kapną.

– Może się w ogóle nie kapną – odparowała dzielnie Pegi.

– Właściwie nie mają prawa się kapnąć – poparła ją Klaudia i

spojrzała w moją stronę, tak jakby chcąc dać mi do zrozumienia, że te słowa przeznaczone są tak naprawdę dla mnie. – Wszędzie mamy swoich ludzi: takie państwo w państwie. Ale do końca nigdy nic nie wiadomo.

Klaudia, wypowiadając jeszcze tę kwestię, podeszła do mnie.

– Mamy cię – rozpromieniwszy się w czarującym uśmiechu, podała mi rękę. – Klaudia. Klaudia Kekkingave.

– Slim Morano – rzuciłem skromnie, nie mogąc jednak jej uśmiechu nie skontrolować czymś w rodzaju jego lustrzanego odbicia. Do uśmiechania się miałem jakiś dar.

– Nie małpuj – powiedziała. – Jestem twoją pierwszą kobietą krzyżówką.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, tatusiu. Tylko tyle, że moja matka, Benai Suneze, która zresztą, jak może wiesz, nie lubiła facetów i używała ich tylko jako atrapy do osiągnięcia mechanicznego orgazmu, wiedziała od początku, co z ciebie za jeden, i skrzyżowała cię ze sobą. Nosiła mnie w swoim brzuchu. Jestem więc z naturalnego poczęcia. I choć jestem przyrodnią siostrą Atai, jestem od niej dużo młodsza. Jest niemniej faktem, że pochodzimy z jednego łona. Tyle że ja swoje dzieciństwo spędziłam z Heteros. Najpierw porwali mnie co prawda Homos, ale potem z kolei wymienili mnie z Lesbos na pewnego typu, na którym im bardzo zależało. A potem, kiedy udało im się jakimś cudem uprowadzić z Lesbolandu Aiyshę, Benai zaoferowała im, że mogą zażądać od niej, kogo tylko chcą, byle tylko Aiyshę oddali jej z powrotem.

– I? Oddali? – przerwałem jej odruchowo, żeby to, co właśnie usłyszałem, mogło mi się jakoś ułożyć w głowie. I żeby nie przegapić czegoś ważnego, co mogłoby dotyczyć mnie i Aiyshy.

– Tak. W czasie tej transakcji znalazłam się obok dobrych

dwóch setek facetów, którzy, najczęściej jako więźniowie z lesbiańskich obozów pracy, poszli na wymianę. Było też tam sporo kobiecych oryginałów, których Homos sobie od Lesbos w zamian za Aiyshę zażyczyli. Aiysha powróciła więc do Lesbolandu po bardzo krótkim czasie i zajęła ponownie miejsce u boku Atai, ja zaś znalazłam się wśród Heteros, którzy odzyskali mnie wkrótce potem od Homos w czasie jakiejś kolejnej wymiany na wysokim szczeblu, podając się oczywiście za agentów Owena. Wychowałam się więc tam, w Heterolandzie. I nie marnowałam czasu tak jak ty i Aiysha u boku Atai.

– Nazywasz to marnowaniem czasu? Prawie dziesięć lat siedzenia w osamotnieniu w tej kamczackiej twierdzy pod najściślejszą ochroną?

– Nie to miałam na myśli. Miałam na myśli twoje młode lata u boku Aiyshy.

– Czyli że chcesz przez to powiedzieć, że los pozbawił mnie mojej córki tylko po to, żebym mógł „nacieszyć się” swoją... narzeczoną?

– Nie komentuję.

– Ile masz lat?

– A na ile wyglądam?

– Na piętnaście.

– Jestem parę lat starsza, jak się może domyślasz.

– To znaczy?

– To znaczy, że jestem twoją córką, prawdziwą córką.

– Co to znaczy „prawdziwą”?

– To, co myślisz.

– Ile miałem wtedy lat?

– Trzynaście, byłeś wcześniej dojrzały. O ile sobie przypominasz, nie rosłeś od czternastego roku życia. Już wtedy miałeś te swoje sto osiemdziesiąt centymetrów.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Od Aiyshy.

– Od Aiyshy?

Przytaknęła w milczeniu, ale poza tym pary z ust nie puściła. Nie wytrzymałem więc i zapytałem w końcu wprost – moją córkę o moją narzeczoną:

– A gdzie ona jest?

– U nas.

– Co to znaczy „u nas”? U Heteros?

– Zobaczysz. Trochę cierpliwości. Są Heteros i Heteros. Może wiesz coś o tym.

Pokiwałem tylko głową. Bo oczywiście chwilowo mało mnie interesowało cokolwiek poza Aiyshą. Dla niepoznaki jednak powróciłem do poprzedniego wątku naszej rozmowy.

– Nie przypominam sobie, żebym jako chłopiec był zgwałcony przez Benai Suneze.

– W twoim wypadku to nie był gwałt. Raczej rodzaj inicjacji. Ale dostawałeś zapominałki. Dlatego nie możesz sobie przypomnieć. Poza mną... masz jeszcze wiele dzieci. Byłeś dość intensywnie eksploatowany.

Pokiwałem z niedowierzaniem głową.

– Na dziś ci chyba wystarczy. Popatrz sobie na gwiazdy. Na tym wyświetlaczu – wskazała unoszącą się ponad pulpitem w powietrzu trójwymiarową projekcję – możesz zobaczyć prawdziwe niebo. Pegi – zwróciła się do rudzielicy – pokaż mojemu tacie,

co tam w próżni piszczy.

A do mnie dodała:

– Za dwie, trzy godziny będziemy na miejscu.

Maj 2386

Wychowałem się wśród Lesbos. Od dziesięciu lat przebywałem w niewoli – najpierw w łagrach na Tybecie i na Kamczatce, potem porwany u Owena – i nie miałem możliwości przekonać się osobiście, jaki ten świat naprawdę jest. Znałem go z lektury, ze szkół dla męskiej młodzieży w Lesbolandzie (specjalne programy dla przebywających u nich w niewoli Homos), oczywiście w czasie, kiedy byłem jeszcze bardzo młody i żyłem na wolnej stopie; z opowiadań innych. Przybywszy jednak do krainy Heteros w byłej północnowschodniej Azji, przekonałem się, że Heteros to społeczeństwo bardzo wielowarstwowe. Obok bowiem wszystkim znanej Heterolandii istniała tu cała nielegalna cywilizacja, przygotowująca następne pokolenia do przejęcia władzy na Ziemi i rządzenia nią wedle kosmicznych, odwiecznych praw. Odnalazłem tu tych, których właściwie przez dwadzieścia osiem lat swego życia szukałem; tych, którzy żyli w świetle, mimo iż zdawały się otaczać ich ciemności; i tych, którzy posiadali tak niewiele, ale zdecydowani byli na wszystko. I odnalazłem też ją, Aiyshę.

Aiysha uciekła Atai w czasie jej nieobecności. Była to akcja, którą osobiście zaaranżował i przeprowadził Magan Laj, szef, nazwijmy to, wysoce tajnej siatki kontrwywiadowczej Heterolandczyków. Mieli oni od pewnego czasu paru ludzi (parę przedstawicielek płci żeńskiej) w najbliższym otoczeniu Aiyshy w Lesbolandii i zasymulowali w czasie nieobecności Atai napad rabunkowy ze strony Owena. Aiyshę udało się im jednak wywieźć na Marsa tylko dzięki temu, że owe kobiece agentki mogły nawiązać z nią, przebywając w jej pobliżu, osobisty kontakt i przy jej bezpośrednim udziale całą tę akcję zaplanować. I rzeczywiście, Aiysha mało co nie znalazła się w rękach Owena.

Zdarzyło się to na Marsie w trakcie przypadkowej kontroli ze strony jednego ze stróżów bezpieczeństwa, jak po ojcowsku byli oni przez Owena i jego popleczników nazywani. W czasie tej akcji Aiysha rzeczywiście pośliznęła się i złamała sobie nogę, odnosząc przy tym także parę innych powierzchownych obrażeń. Owen był naturalnie wściekły, że mu się w końcu wymknęła, bo już od dawna miał na nią oko. Wiedział przecież, że gdyby Aiysha dostała się w jego ręce, mógłby na mnie i na Atai wymóc wszystko, a w dodatku miałby do swojej dyspozycji najpiękniejszą (chyba nie tylko z mojego punktu widzenia) kobietę w Słonecznym. W międzyczasie Aiysha zdążyła się już przed paroma tygodniami znaleźć w Heterolandii, w rejonie oddzielonym niedostępną dla niewtajemniczonych służą czasoprzestrzenną (określaną w syntetycznym języku heterolandzkim jako, w tłumaczeniu, strefę „porta tempora”). Służa ta w normalnych warunkach zaginała wokół siebie kontinuum, przybliżając do siebie znajdujących się w jej pobliżu „swoich”, a oddalając na kilometry niepowołanych; mogła ona też jednak pod wpływem okoliczności do minimum redukować pole swojego działania.

Aiysha w ciągu tych paru tygodni doszła już do siebie i bardzo niecierpliwie na finał tej akcji pod Arsenalem czekała. Akcja ta, mimo mojego wielkiego respektu dla tych najwspanialszych pod słońcem chłopców i dziewcząt z Powstania, o których do dziś mówi się w wielu sferach i wymiarach z wielkim poważaniem i z których zresztą wielu żyło we współczesnych mi reinkarnacjach w Heterolandii jako członkowie struktur jej tajnego kontrwywiadu, przy całym więc szacunku dla nich, akcja pod Arsenalem była błahostką w porównaniu z odbiciem mnie Owenowi. Kiedy potem się dowiedziałem, jaką tradycję miała i na jaką skalę zakrojona była działalność tegoż kontrwywiadu, która to działalność od lat stawiała sobie za główny cel odbicie mnie i Aiyshy z rąk „niewiernych” (w znaczeniu niewiernych Prawom Królestwa), dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z posłanniczej wagi tego przedsięwzięcia o wymiarze, można by powiedzieć, globalnym. Przykładowo – ten znajomy

handlarz Owena, który od dzieciństwa był przygotowywany do tej roli, i nikomu, żadnemu ostatniemu oprychowi albo mafiozo na Marsie, nie przyszłoby w najśmielszych oczekiwaniach do głowy, że może on mieć coś wspólnego z heterolandzką siatką wywiadowczą. Jak mi potem mistrz Herman opowiadał, nawet Ataja, córka diabła, jakby się wielu wydawało, miała karmiczne zadanie, z którego sobie oczywiście świadomie nie zdawała sprawy, tak długo trzymać mnie w swojej niewoli, jak długo wszystkie przygotowania nie zostaną zapięte na ostatni guzik i nie znajdą odpowiednie okoliczności, umożliwiające przesiedlenie mnie i Aiyshy do Heterolandii. Aiyshy, która, tak jak i ja, o tej innej Heterolandii nie miała żadnego pojęcia. Było to więc dla nas obojgu zupełnie nowe odkrycie: świat Heterolandii z pogranicza Porta Tempora. Nie dziwota więc, że nasz pobyt rozpoczął się od udziału w licznych, regularnych szkoleniach, w całym, obliczonym na nasz użytek, programie edukacyjnym, który zresztą sami, w miarę naszych postępów, współtworzyliśmy na bieżąco. Ale o tym może jeszcze potem. Najważniejsze było przecież dla mnie zobaczyć się z Aiyshą.

Z Marsa wróciłem późno w nocy, z dwunastego na trzynastego maja. Zaprowadzono mnie jakimś korytarzem do mojego tymczasowego pomieszczenia mieszkalnego, dość schludnie urządzonej podziemnej kajuty z normalnym łóżkiem (miałem już dosyć tego magnetycznego, polosiłowego tapczanu na Marsie). Spałem jednak nie więcej niż pięć, sześć godzin, czyli i tak długo, bo gdyby nie to, że byłem bardzo zmęczony, w ogóle bym nie zasnął, jako że wewnętrzne napięcie na myśl o spotkaniu z Aiyshą nie opuszczało mnie ani na chwilę.

14 czerwca 2386

Minął miesiąc od czasu mojego spotkania z Aiyshą. Otworzyły się przede mną nowe światy, ale nic, na co nie byłbym przygotowany. Wszystko jakbym już wiedział wcześniej.

Aiysha była dokładnym odzwierciedleniem mojego ideału kobiety, choć z wyglądu mogłaby być trans. Jej lekko skośne, ciemne oczy zdradzały już przy pierwszym wzrokovym kontakcie pewien rodzaj determinacji, wyrażającej coś na kształt bezapelacyjnej pogardy dla ludzi, którzy byliby gotowi zrezygnować ze swoich ideałów dla jakichś bieżących korzyści. Ta determinacja, ten nieznoszący sprzeciwu, wynikły jakby z jakiejś wrodzonej odporności na wszystkie cierpienia i niewygody, świadomy i głęboki idealizm, przywołujący każdego, kto rozpoznał go w jej spojrzeniu, do szacunku dla niej i czci nieomal – bywał też natychmiast równoważony przez jakąś królewską hojność jej dobrotliwego i ujmująco czarującego uśmiechu i przez naturalną lekkość i jakby jakąś napowietrzną grację jej ruchów, wywołującą złudzenie, że jej ciało zbudowane jest nie z fizycznej, ale z jakiejś innej, eteryczno-duchowej tkanki. Ta jej idealistyczna wierność własnemu sercu i królewska charyzma, ale także pokora, pokora z miłości, i jej królewska godność sprawiały, że zaskarbiała sobie z miejsca wielką sympatię, niemalże uwielbienie. I to nie tylko moje.

Aiysha miała wysokie i gładkie czoło, które okalały długie, brązowo-kasztanowe włosy, przeplatane trochę ciemniejszymi, naturalnymi kosmykami, oraz królewsko, nieco do tyłu wydłużoną czaszkę, jak starożytno-egipska, arystokratyczna piękność Nefretete. Twarz jej podzielona była długim, szlachetnie wydatnym nosem na dwa dosyć płaskie, pozbawione wszelkiej powierzchownej zmysłowości policzki, i uwieńczona dużymi, zdającymi się nieprzerwanie lśnić w jakimś niebiańskim, wewnętrznym uśmiechu ustami. Jej ciemnoróżowe wargi co moment odsłaniały rzędy bielusieńkich zębów, skromnie pozostających zawsze na drugim planie. Dodatkowo zaś jej pewien z lekka groźny zarys twarzy łagodziły, co chwila wyłaniające się w kącikach pięknych ust, dwa przeurocze dołki i pogodnie odchyłona do przodu, wydatna dolna warga. Przydawało to jej czasami tak pełnej powagi fizjonomii ten dziecięco-spontaniczny wyraz, odsuwający na najdalszy plan jakiegokolwiek wątpliwości co do absolutnej szczerości jej

intencji. Całość dopełniały pełne, naturalnie zwięzające się na zewnątrz, wyraziste brwi. Kiedy zaś dziewczęco odgarniała sobie włosy, ukazywały się śliczne, regularne, ani nazbyt małe, ani nazbyt płaskie uszy. Nie była więc żadną tanią pięknnością, nie miała też w sobie cienia taniego erotyzmu czy jakiegokolwiek frywolności, a mimo to była kobietą magicznie pociągającą i uniwersalną, o jednorazowo rzadkiej, nadprzyrodzonej nietypowej urodzie, co przy niej, rzecz istotna, jednoznacznej heteroseksualności, czyniło z niej wyjątek w całym Słonecznym. Był to też jeden z powodów, dla których repliki jej reprodukcji należały do tak wielce rozpowszechnionych: wszędzie miała swoich fanów. I wrogów.

Posiadała też cechy charakteru i usposobienia, których żadna reprodukcja, to przecież oczywiste, nie była w stanie w pełni oddać. Przede wszystkim skromność i ta, tak pełna czaru i witalności, pozbawiona jakiegokolwiek wykałkulowania, tak jakby pozorna oszczędność ruchów – pozorna, gdyż krył się za nią pełny potencjał owej zawsze zdolnej do zachwyty, dziecięco-niewinnej spontaniczności – ta zatem skromność i pełna samokrytycznej kontroli oszczędność ruchów świadczyły tylko o tym, że nie chciała swoim boskim wdziękiem nikogo prowokować, bo jeśli już ktoś dostępował z jej strony tego zaszczytu, zaszczytu ujrzenia jej w stanie nieskrępowanej, nieprzytłumionej radości lub gniewu, lub jakiejś innej, podobnej chwili, ten nie mógł się już nigdy otrząsnąć z wrażenia, jakie pozostawiły na nim jej doładowujące w jednej chwili tą jej uszczęśliwiającą energią spojrzenia i uśmiechu, i anielsko słodka, bezwiednie przykuwająca spojrzenie mimika jej twarzy.

Jak się z czasem przekonaliśmy, Heteros posiadali dobrze funkcjonujące organizacje (nie chcę używać słowa instytucje), o których można by powiedzieć, że miały charakter podziemny, a nawet że związane były z czymś w rodzaju bardzo świadomego swoich celów ruchu oporu. Trudno mi powiedzieć, na ile Lesbos i Homos było to wiadome, nie mieli jednak tego zjawiska albo

za zbyt niebezpieczne, albo za niemożliwe w łatwy sposób do zwalczenia, albo też, co uważam również za przekonywające, gdzieś tam po cichu liczyli się z Heteros jako ze sprzymierzeńcami w walce, i to nie tylko z mafią Owena. Prawdopodobnie jednak wszystkie te czynniki i oczywiście fakt, że Heterolandia była niezastąpionym dostarczycielem świeżego materiału genetycznego, rozszerzały granice tolerancji, z jaką Lesbos i Homos traktowali Heterolandczyków.

Oczywiście nie powodowała nimi w stosunku do nich żadna litość, lecz, nazwijmy to, jakaś szczątkowa strategia gospodarczo-rozwojowa, bo Heterolandia była dla nich wszystkich, także dla Owena, czymś w rodzaju gigantycznego, ziemskiego zoo albo też rezerwatu, gdzie w naturze prokreowały się egzemplarze, jakich w laboratoryjnych warunkach nie można by wyhodować. Żadne jednak prawo ani żadna umowa nie chroniły Heterolandczyków przed innymi i traktowani byli oni jak bezbronni Indianie przez białych kolonizatorów, z tą tylko różnicą, że nikt z białych nie zamierzał się tu osiedlać, lecz jedynie łupić, pozwalając sobie na wszystko. Wielokrotnie porywano z Heterolandii nie tylko sympatyczniejsze dzieci czy też niemowlaki, ale już młode mamy w ciąży. Oszczędzano tylko tereny rolnicze i infrastrukturę Heterolandii, a nawet udzielano czegoś w rodzaju pomocy gospodarczej, oczywiście aby zapewnić sobie łupy na przyszłość. Heterolandczycy powinni więc rozmnażać się na potęgę – nie obowiązywał tu bowiem zakaz heteroseksualnego kontaktu cielesnego – a jednocześnie, pozostając tą niekontrolowaną strefą kwitnącego heteroseksualizmu, stanowić coś w rodzaju naturalnego laboratorium a także zaplecza dla nowych, naturalnych krzyżówek. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Bo Homos, Lesbos i Owenos, jak nazywano czasem ludzi Owena i pokumane z nim gangi, znajdowali się w stanie ciągłej wojny i sami wydzielali sobie z rąk co wartościowsze krzyżówki-oryginały. I to niejednokrotnie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Było na przykład niemalże regułą, iż jeżeli w jakiejś potyczce, dajmy na to, Homos utracili w walce z Owenos jakąś krzyżówkę,

próbowano tę stratę przynajmniej częściowo zrekompensować i usiłowano przeciwnikowi odstrzelić porwaną ofiarę. Najczęściej nie udawało się jej wprowadzić nawet zranić, gdyż porwanych strzeżono jako niezwykle cenny łup wszystkimi środkami, ale chciałem w ten sposób ukazać, że oficjalnie, to znaczy w ramach oficjalnie obowiązujących zasad, nie miano dla wykradzionych krzyżówek, jako dla autonomicznych istot żywych, żadnej litości; były one – oficjalnie – tylko kosztownym towarem i niczym więcej. Zostało to zresztą w urzędowym prawodawstwie jeszcze dobitniej usankcjonowane: jakakolwiek litość dla wroga – a wykradane krzyżówki jako plugawe nasienia heteroseksualizmu były oczywiście elementem wrogim – jakakolwiek więc litość wobec nich, mając status niedopuszczalnej słabości, była surowo karana.

Odwrotnie było u Heteros. Byli oni narodem pacyfistów i ofiar. Z pozoru. Pod pozorem swojej bezradności starali się bowiem ukryć to, co najważniejsze – skrzętnie przygotowywaną rewolucję. Miała ona w ich społeczeństwie wiele swoich ogniw, większość Heterolandczyków żyła jednak normalnym, choć często bliskim ostatecznej granicy ubóstwa życiem. Ja i Aiysha, jak z dnia na dzień coraz jaśniejsze się to dla nas stawało, należeliśmy jednak do elity tej społeczności, a wkrótce uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy jej bodaj najważniejszymi członkami. To i jeszcze parę innych rzeczy przyswoiliśmy sobie wstępnie w ciągu pierwszego miesiąca. Zrozumieliśmy także, jak przejawiała się działalność Heterolandczyków w zewnętrznym świecie. Otóż wielu konkurentów, ale i także współpracujących na wolnym rynku z Owenem mafiozo, miało swoje korzenie w Heterolandzie, i w gruncie rzeczy stanowili oni wszyscy, choć często pod postacią drobnych handlarzy, przewoźników i temu podobnych, jedną potężną organizację. Organizację, która co prawda nie mogła z dnia na dzień złamać potęgi Owena, ale która była nośnikiem wartości, jakie nie dawały temu światu tak do końca się zdeprawować.

Wrzesień 2386

Zostaliśmy częściowo wtajemniczeni. Ale w czasie wolnym od zajęć trzymano nas rozdzielnie. Tłumaczono nam, że najpierw musimy przejść odpowiednie szkolenie i podnieść swoje wibracje, a dopiero potem, w tym nowym stadium rozwoju, możemy zdać się na naszą nową, pobudzoną, już wtedy wyższą wolę; gdyż dopiero wtedy, w stanie tych podwyższonych wibracji, będziemy zdolni do podejmowania stosownych decyzji. Nasza świadomość będzie bowiem wówczas zdolna funkcjonować na poziomie theta, a nawet delta. Staniemy się niejako świadomie wielowymiarowi. Co przy naszym potencjale, jak nas zapewniał mistrz Herman, w idealnym zaś układzie – zjednoczonym potencjale – będzie miało ogromny wpływ na dalsze losy całego Słonecznego. I nie tylko. Ale tego już nikt dokładnie nie wie. Co dokładnie nastąpi, jaki będzie miało przebieg – owiane jest tajemnicą. Bo to będą zmiany, wprowadzające Ziemię i Słoneczny w wyższy wymiar, a konkretnie – wprowadzające przetrwałe w nim po wcześniejszych zmianach klimatologicznych i kataklizmach formy życia na wyższe piętro spirali; spirali nieuchronnego rozwoju i ewolucji form biologicznych wedle scenariusza, który dalece przekracza wszelkie wyobrażenia i przewidywania naukowców z ZPP (Zespołów Planowania Przyszłości, naukowej organizacji pod wodzą Owena). Proces tych przemian zapisany jest już bowiem od dawna (przy czym „od dawna” oznacza tu z ludzkiej perspektywy praktycznie: wiecznie) w sąsiadujących z naszymi kontinuumach hiperczasoprzestrzennych. I czeka na realizację. I na realizatorów. A ponieważ my, ja i Aiysha, mamy w sobie tę pierwotną nieskalaność, tę nierozdwojoną boską pełnię osobowości, której prototyp nigdy się nie rozcząstkował, nie rozmienił, nie skarmizował, i dzięki temu czerpie tę nieskalaną, anielską energię życiową wprost z praźródła – z tego względu jesteśmy głównymi aktorami tego scenariusza w danej nam pod opiekę wersji rzeczywistości, choć byśmy sobie z tego nie zdawali sprawy. Ale nie tylko w tej wersji. Wszystko bowiem łączy się ze sobą i się przenika – i dlatego musimy być

gotowi na „odskoki” do innych systemów czasoprzestrzennych, czyli do innych wersji rzeczywistości. Przy czym właściwie inne wersje rzeczywistości tak naprawdę nie istnieją, istnieje tylko jedna rzeczywistość, rozwijająca się w następujących po sobie kontinuumach (czasoprzestrzennych, podczasoprzestrzennych i nadczasoprzestrzennych), choć trzeba przyznać, że logika tego rozwoju bardziej przypomina labirynt, w którym wypróbowuje się kolejne drogi powrotne do źródła, niż, jak my to sobie w naszej zbiorowej świadomości wyobrażamy, następujące po sobie fakty i epoki historyczne. Co to dla nas oznaczało praktycznie? Ponieważ zaszliśmy w ślepą uliczkę, musimy przenieść się teraz do innego kontinuum, które zresztą z naszym obecnym łączy się w jedną całość w trudny dla nas chwilowo do zweryfikowania sposób. Po prostu rzeczywistości te mają wiele dziur, poprzez które mniej lub bardziej twórczo albo destrukcyjnie się łączą. I teraz jest ważniejsze, żeby zatkać pewną starą, newralgiczną dziurę, która dała początek tej, w której my sami się aktualnie znajdujemy; wiele negatywnych mocy ma przez nią dostęp do tej właśnie rozpadającej się na naszych oczach pseudo cywilizacji. Dlatego musimy przenieść się w inne kontinuum, aby tam wraz z innymi uaktywnić pewne procesy, które odpowiednio zmieniają świadomość zbiorową.

Jak można by to prościej nazwać? No cóż, inni nazywają to: być dobrowolnie przygotowanym na śmierć. Bo przecież musieliśmy dobrowolnie, choć może tylko fizycznie umrzeć, niejako ofiarowując swoje własne szczęście na rzecz dobra ludzkości.

Ładna historia, nieprawdaż? Tego się z Aiyshą nie spodziewaliśmy. Bo kto by się tego spodziewał? I chociaż mogliśmy ze sobą codziennie przebywać, dyskutować oraz wspólnie poddawać się tym wszystkim szkoleniom, głównie zresztą w zakresie osiągnięcia odmiennych stanów świadomości, to jednak byliśmy cały czas obserwowani, żeby nie powiedzieć – kontrolowani. Pozwalano nam bowiem wprawdzie, jak już pisałem, ze sobą być, ale traktowano nas jak nastolatki, które nie

powinny sobie sprawić potomstwa, a przynajmniej na razie jeszcze nie. Nasze wibracje i spektra były więc tak kształtowane, czy też raczej modyfikowane, abyśmy nasze instynktowne zapotrzebowania, niczym stary program komputerowy, przeprogramowali na wyższy poziom jakościowy, chociaż przecież ten reprezentowany przez nas był – jak nas chyba nie tylko grzecznościowo zapewniano – już bardzo wysoki.

W praktyce przekładało się to na bycie ze sobą jak dzieci. Albo jak kochający się braciszek i siostrzyczka. Seks był out. Jedzenie bardzo skromne. Przede wszystkim dyscyplina i – podróże do światów wewnętrznych; precyzyjnie zaś się wyrażając – podróże do światów, do których wrota otwierają się tylko z wewnątrz. Otrzymaliśmy na ten temat tyle informacji... Przekazano nam wręcz całą naukę. Zapomnianą naukę. A choć mistrz Herman nie raz nas uprzedzał, że jego wejście w te odwewnętrzne światy jest bardzo ograniczone, to jednak przekonaliśmy się w tym stosunkowo krótkim czasie, że należał on do kategorii najgłębiej wtajemniczonych. Jego wiedza była jak klejnot, którego wprawdzie nie nosił, ale który emanował z niego na cały ten osuwający się nieodwołalnie w jakąś gigantyczną kosmiczną przepaść świat.

Myślę jednak, że aby wyłożyć tę naukę, aby o niej w tym pamiętniku opowiedzieć, muszę jeszcze trochę poczekać. Poczekać, aż mi się w głowie ułoży jakiś bardziej całościowy obraz.

Marzec 2837

Przyzwyczajiliśmy się do siebie. I byliśmy właściwie przekonani, że potrafimy nad sobą zapanować. Postanowiliśmy więc zwrócić się do Hermana z prośbą, abyśmy mogli ze sobą również w nocy przebywać. Wtedy przeżyliśmy szok. Okazało się bowiem, że jesteśmy...

– Jesteście rodzeństwem...

– Rodzeństwem?! – wycudziliśmy niemal równocześnie przez zęby, zanim do nas jeszcze w ogóle w pełni dotarło, co to może oznaczać.

Herman przytaknął spokojnie.

– To znaczy? – zaintonowaliśmy znowu zgodnie po chwili.

– To znaczy, że jesteście bratem i siostrą. Zostaliście jako dzieci przez Lesbos wykradzeni z Heterolandu. Ale do tej pory nikt wam jeszcze nie opowiedział prawdy. Sama...

– Mama Atai? – wtrąciła się nagle Aiysha, chyba trochę poddenerwowana, że Herman implikuje nam takie rujnujące całą naszą nadzieję na szczęście nowości, jakby chciał nas właśnie zachęcić do wymiany starej tapety w naszej nieistniejącej sypialni.

Herman objął ją spojrzeniem, które pytało, od kiedy to umie czytać w jego myślach.

– Tak. Sama Benai Suneze kierowała tym napadem. Nie zostaliście porwani przypadkowo. Lesbos dobrze sobie zdawały sprawę, kogo mają w ręku.

– A kogo miały w ręku? – spytałem sceptycznie, bo wydawało mi się, podobnie jak i Aiyshy zresztą, że Herman trochę przesadza z tym ciągłym podkreślaniem naszej szczególnej roli.

– Was – odpowiedział znowu bardzo banalnie.

– To znaczy... – pozostawałem przy swoim.

– To znaczy – powtórzyła jak echem Aiysha – kogo? Nas, to znaczy kogo?

– Slima Morano i Aiyshę Ssemane.

– Ssemane? – zaintonowaliśmy znowu w chórk, z dużą dawką niedowierzania zresztą. Ssemane to przecież było nazwisko rodowe mojej matki.

– Tak. Tłumaczę wam... że pochodzicie z jednego łona.

– Ale przecież – zacząłem, byłem jednak tak zszokowany, że nie mogłem się skupić.

– Ale przecież – kontynuowała za mnie Aiysha – jesteśmy co prawda w tym samym wieku, ale zupełnie do siebie zewnętrźnie niepodobni! Jakże więc nas mama... Slima...?

– I twoja – dodałem z pewnym sarkazmem.

– I moja... – powtórzyła bez przekonania Aiysha. – Jak więc to możliwe? Musiałby być między nami przynajmniej rok różnicy.

– Jesteście bliźniętami. Poznaliście się już w łonie swojej matki. Mimo to... Mimo to macie dwóch ojców.

– Przecież to niemożliwe – nasze głosy znowu nałożyły się na siebie i spojrzeliśmy sobie z nutą nowej nadziei w oczy.

– Możliwe jest wszystko, nie zapominajcie o tym. Nie osądzajcie także swojej matki. Bardzo was kochała.

– Ale jak możemy mieć dwóch ojców, skoro jesteśmy bliźniętami?

– poddała znowu w wątpliwość Aiysha.

– Jesteście bardzo rzadkim przypadkiem bliźniąt dwujajowych, pochodzących od dwóch ojców. Wasza matka zaś... Wasza przepiękna matka przeżyła wielką tragedię. Zakochała się na śmierć i życie w Rawanie Morano. Ale Rawan miał brata bliźniaka. W przeciwieństwie jednak do was, byli to bliźniacy jednojajowi. Nie do odróżnienia. I na nieszczęście brat Rawana, Lawan, kochał waszą matkę tak samo jak Rawan. Gdy jednak wyszło na jaw, że są niedającymi się odróżnić egzemplarzami tej samej osoby, mama wasza wpadła prawie w obłęd. Jak byśmy tego nie nazwali, była to dla kogoś takiego jak ona, osoby o najczystszych intencjach i osoby stojącej na najwyższym podium hierarchii moralnej, była to dla niej sytuacja bez wyjścia. Sytuacja ta jednak w krótkim czasie rozwiązała się sama. Wasza mama zdążyła spędzić z każdym z nich tylko jedną noc, a

ściślej mówiąc, dwie kolejne noce, pierwszą z Rawanem, drugą z Lawanem, lub odwrotnie. I potem... już nigdy nie zaznała ich miłości. Obaj zginęli w czasie, dowodzonego przez Benai Suneze, napadu Lesbos. Musicie bowiem wiedzieć, że matka Atai, Benai Suneze, kochała się absolutnie nieopamiętale w waszej mamie. Wasza matka, Rawa Ssemane, była jej wielką miłością. I nie należy się temu dziwić: była bodaj największą pięknoscią swoich czasów w całym Słonecznym i okolicy. Benai zrobiłaby dla niej wszystko. Wszystko oznaczało jednak również, że zgładziłaby bez skrupułów każdego, kto by jej stanął na drodze do Rawy. W parę dni po tych, jak można by je nazwać, dwóch kolejnych nocach poślubnych, w czasie których poczęło się w jej łonie wasze życie, los sam w sposób jednoznaczny rozwiązał pułapkę, w jaką wpadła wasza matka. Otóż bowiem kiedy Lesbos, pod wodzą Benai, chciały wam wykraść waszą matkę, obaj bracia, Rawan i Lawan, wasi rycerscy ojcowie, stanęli, gotowi na wszystko, w jej obronie. I obaj zginęli. Waszej mamie udało się jednak wówczas jeszcze zbiec. Nie na długo. Benai bowiem postawiła sobie za swój cel życiowy zdobyć dla siebie Rawę. I konsekwentnie ponawiała napady; wysyłała szpiegów; przeczesywała całe połacie Heterolandii. To była już prawie stała okupacja. Aż w końcu udało jej się. Odnalazła waszą matkę i uprowadziła ją. Wraz z wami. Poprzysięgła jednak jej przy tym – ponieważ wasza matka zagroziła jej, że prędzej wam i sobie odbierze życie, niż wpadnie w niewolę – że nikomu, ani wam, ani waszej mamie włos z głowy nie spadnie. Byłem osobistym świadkiem tych wydarzeń. W pewnym sensie nawet... Nie osądzajcie mnie, ponieważ nie było innego wyjścia. Kiedy nie było się już gdzie przed okrutną Benai Suneze schować, wasza mama podjęła decyzję, że odda się w jej ręce. Gdyby się na to nie zdecydowała, po Heterolandii pozostałyby tylko zgliszczka. Ja zaś... pomogłem jej w podjęciu tej decyzji. I poprzysięgłem, że gdyby jej, Rawie Ssemane, miało się kiedyś coś złego przydarzyć, uczynię wszystko, abyście mogli żyć znowu na wolności. I oto...

Herman zdawał się być bardzo poruszony. Na moment ukrył twarz

w dłoniach. Obserwowaliśmy go w milczeniu, nie śmiejąc chwilowo spojrzeć sobie w oczy. Herman po chwili kontynuował:

– I oto... jesteście. Po ponad dwudziestu pięciu latach. Jesteście znowu... Znowu u siebie. Ale... nie jestem do końca pewien, dlaczego Benai zataiła przed wami prawdę. Prawdopodobnie, gdybyście się dowiedzieli, że jesteście bratem i siostrą, wydałoby się także z czasem, w jaki sposób dostaliście się w jej ręce. A tego chciała zapewne uniknąć, aby w waszych oczach nie uchodzić za... – Hermanowi zabrakło odpowiedniego słowa.

– Morderczynię naszej mamy – podsunąłem mu.

– Niezupełnie. Bo musicie wiedzieć, że wasza mama, Rawa Ssemane, była nie tylko dla Benai tak łasym kąskem. Także Owen miał na nią oko. I gdy Benai najmniej się tego spodziewała, tuż po uprowadzeniu was i waszej mamy, kiedy byliście już w drodze do Lesbolandu, cały wyborowy oddział jednostek Owena napadł na kordon Benai. Wywiązała się krwawa walka, w czasie której... wasza mama straciła życie. Benai udało się jednak wraz z wami zbiec. Mieliście wówczas po trzy lata. Od tego czasu wychowywaliście się wśród Lesbos. Byliście oczkiem w głowie Benai, a potem, kiedy i ona została porwana przez Homos, staliście się oczkiem w głowie Atai. Ty, Slim, byłeś jedynym mężczyzną, który był traktowany przez Lesbos na równi z kobietami.

– Do czasu – wtrąciłem.

– To znaczy? – spytał Herman.

– Do kiedy Ataja nie zakochała się w Aiyshy. I nie stwierdziła, że stoję na drodze do jej szczęścia.

– Nie można stać się szczęśliwym, niszcząc innych. Kiedyś wszyscy muszą to zrozumieć. Trzeba odkryć w sobie te wewnętrzne światy i nauczyć się być szczęśliwym bez uzależniania od siebie innych. I wy też wcześniej czy później

musicie się tego nauczyć. Rozumiesz?

Herman popatrzył mi prosto w oczy.

– Niezupełnie – powiedziałem. – Czasami dzieją się rzeczy, których nie rozumiem, bo się chyba jeszcze nikomu nie przydarzyły. Czy po to przeżyłem te wszystkie męki i po to włóczyłem się przez dwanaście lat po tych wszystkich obozach karnych, żeby teraz się okazało, że największa miłość mojego życia jest moją siostrą?

– Nie całkiem. To jest twoja pół-siostra. Mówiłem wam już. Zrobiliśmy po waszych narodzinach szczegółowe badania genetyczno-porównawcze...

– I co? – zainteresowała się jakby z odrobiną nadziei w głosie Aiysha.

– Z całą pewnością macie dwóch różnych ojców. Jedno z was pochodzi od Rawana, drugie od Lawana.

– Kto od kogo? – rzuciła jakby od niechcienia, znów wyraźnie zgaszona.

– Ty od Lawana. Rawan jest ojcem Slima.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała tonem lekkiego niedowierzania Aiysha. Była, tak jak i ja, nadal wytracona z równowagi. Perspektywa bycia jedynie moją siostrą, choćby i tą mniej spokrewnioną, przyrodnią, była dla niej nie do przyjęcia.

– Skąd ja to wszystko wiem? – odparł z namysłem Herman. – Musicie wiedzieć, że... – urwał na chwilę, jakby się bał, żeby się nie przejęzyczyć.

– Że jesteś naszym dziadkiem, ojcem naszych ojców – zawyrokowała już na poły złośliwie Aiysha.

– Prawie. Ale tak całkiem serio – byłem wielkim przyjacielem

Rawana Ssemane, waszego dziadka od strony mamy.

– Rawana?

– Tak. Rawan to, jak może zauważyliście, bardzo rozpowszechnione w Heterolandii imię.

– I stąd wiesz to wszystko?

– Zgadza się. Wiem o was naprawdę wszystko. Wszystko, co dotyczy waszej rodziny i jej dziejów w Heterolandii. Wobec waszego dziadka, który był moim przyjacielem i moim nauczycielem, a jednocześnie, o czym nikt zapewne do tej pory wam nie mówił, przez całe lata duchowym i świeckim przywódcą Heterolandii...

– Dziadek... – wymawiając to słowo z wyraźnym, ironicznym powątpiewaniem, Aiysha spojrzała w moim kierunku, jakby chciała, żebym i ja ją upewnił, że to był nasz wspólny dziadek. Ale ponieważ jakoś głupio mi było mówić „dziadek” o kimś, kogo w ogóle nie znałem, pokiwałem tylko z niedowierzaniem głową. Znowu jakby tym pocieszona, Aiysha kontynuowała:

– Dziadek... – chwilę się zastanowiła – Dziadek był więc starszy od ciebie, tak?

– Tak – odrzekł spokojnie Herman.

– O ile starszy?

– O dwadzieścia lat.

– I jak długo on już nie żyje?

– Dziesięć lat. Prawie dziesięć. Zginął w 2378 roku w czasie wielkiej obławy.

– Wielkiej obławy?

– Tak. Wasz... – Herman popatrzył na nas w tym momencie z lekkim

współczuciem, ale po chwili powtórzył to „wasz” z naciskiem, jakby chciał sceptycyzm, który wykazywała jeszcze Aiysha, do końca uziemić. – Otóż „wasz” dziadek, Rawan Ssemene, był czymś w rodzaju Salomona naszych czasów. W czasie swoich pokojowych rządów prowadził tak roztropną politykę, że bliski był już zawarcia paktu pokojowego z Lesbos i Homos. W jego czasach wielu mieszkańców obu tych landów przeszło na naszą stronę. Bez względu na rodzaj swojej płciowości przyjmowani byli z otwartymi rękami. Na przykład John Tesko, prawa ręka twojej wybawicielki i córki jednocześnie...

– Córki?! – Aiysha powiodła po mnie wielce zdziwionym spojrzeniem. – Ja to „córki”?

– Nie mówiłeś jej jeszcze? – zdziwił się, patrząc w moim kierunku Herman.

– Jeszcze nie zdążyłem – powiedziałem bardzo cicho i pokiwałem ukorzejaco głową.

Herman westchnął.

– Przepraszam – rzucił bardziej do mnie niż do Aiyshy, chociaż do niej się teraz odwrócił. – Benai Suneze nie przepuszczała żadnemu mężczyźnie, jeżeli uważała go za tak wyjątkowo wartościowy materiał genetyczny jak na przykład Slim. Była matką przynajmniej dziesięciorga dzieci z naturalnych poczęć. Slima zgwałciła, kiedy miał bodaj trzynaście... – spojrzał na mnie pytająco.

– Trzynaście lat. Ale ja nic o tym nie wiedziałem. Dostawałem środki ogłupiające i nic z tego nie pamiętam! Chyba mi wierzysz?

Aiysha spuściła wzrok i westchnęła.

– Wierzę – powiedziała po chwili. – Ale myślałam, że ty jesteś... Że chociaż ty jesteś... – była bliska załamania.

– Aiysha – chciałem jej dotknąć, ale odchyliła się odruchowo

do tyłu. – Aiysha, przecież ja nic o tym nie wiedziałem. One to robiły, kiedy byłem pod wpływem środków odurzających.

– One?! – Aiysha wyglądała teraz o dziesięć lat starzej i zdawała się zapadać w jakąś otchłań. – Jak to „one”? To ile ich było?

– Spokojnie! – powiedział zdecydowanie Herman. – Możesz powiedzieć o sobie – zwrócił się do Aiyshy – z całą pewnością, że ty jesteś nietknięta?

– Ja? – zdziwiła się. – Ja nie byłam nigdy z żadnym mężczyzną.

– A skąd to wiesz? – skontrował. – Slim dostawał środki odurzające. Dopiero tutaj, ode mnie i od Klaudii się dowiedział, że te praktyki miały w ogóle miejsce. Nie wspominał ci o tym, bo zapewne nie chciał cię niepotrzebnie urazić. Za bardzo cię kocha. A poza tym trudno chyba, żeby sobie wyrzucał coś, w czym nie miał żadnego świadomego udziału. Nie uważasz?

Aiysha była kobietą nie tylko niezwykle uczuciową, ale i niezwykle mądrą. Zrobiło jej się więc natychmiast bardzo głupio, że tak dalece utraciła nad sobą kontrolę. Przytuliła się do mnie teraz, położywszy mi głowę na ramieniu, i prawie że wyszeptała:

– Wyobrażam sobie, co przeszedłeś. Przepraszam, że jestem taką egoistką. Ale... sam wiesz, co dla mnie znaczysz. Więc zdajesz sobie sprawę, co by to dla mnie było, gdybyś... Moje całe życie... bezgranicznie ci ufałam. Zawsze wierzyłam, że kiedyś będziemy razem.

Znowu westchnęła i jakby na przekór Hermanowi i całej sytuacji, przytuliła się teraz do mnie już całą niemal połową ciała. Tak blisko jeszcze do tej pory nie byliśmy. Całowaliśmy się już w policzki, krótko przytulali na pożegnanie, ale to, co stało się teraz, to wykraczało już dalece poza narzucony nam przez Hermana regulamin i poza rolę, jakie kazał nam

odgrywać los. Byliśmy do tej pory dziecięco naiwni w naszych wyobrażeniach o czekającej nas przyszłości. Niemniej czuliśmy przecież, że to, co nas łączy jako kobietę i mężczyznę, to jest też coś całkowicie wyjątkowego. Czy mogliśmy jednak jako brat i siostra (choćby i przyrodni) założyć kiedyś rodzinę i żyć ze sobą?

Po chwili, pod wpływem bliskości Aiyshy, przestałem się nad tym wszystkim zastanawiać. Jej ciepłe ciało wypromieniowywało z siebie coś, jakąś energię, która zdawała się opływać mnie jakby miękką łuną, w której czułem się zanurzony jak dziecko w łonie matki albo jak w jej pierwszym, najcieplejszym objęciu nowonarodzonego.

Herman nie mówił nic, tylko przyglądał nam się prawie z rozczuleniem.

– Też kogoś tak kochałem – powiedział.

– Kogo? – spytała bez pardonu Aiysha, wciskając się we mnie tak, jakby chciała się rozpuścić. Herman nie odpowiadał – może nie mógł albo nie chciał – a ja sobie pomyślałem, że kochał tak naszą wspólną mamę, Rawę Ssemane, bo zawsze, kiedy nam coś o niej opowiadał, wydawał się być wielce poruszony. Aiysha zadarła do góry głowę i krótko spojrzała mi w oczy, i byłem niemal pewien, że o tym samym pomyślała.

Herman tak jakby sobie coś przemyślawszy, odezwał się teraz cicho:

– Istnieje jednak dla was pewien cień nadziei.

– Nadziei?... Na co? – spytała Aiysha, nie odrywając głowy od mojego ramienia.

– No na... – zaczął niepewnie Herman. – No żebyście się połączyli.

– Chciałeś powiedzieć, żebyśmy mogli robić to, czego wedle hetero-landzkich norm kulturowych i etycznych nie tylko siostra

z bratem, ale także niezwiązani przeznaczeniem kobieta i mężczyzna robić nie powinni – wyrzuciłem z siebie zwięźle.

Kiedy wypowiadałem te słowa, Aiysha wpatrywała mi się z psią szczerością w oczy, a nawet z pewnym rodzajem zachwytu, jaki mógłby wdzięczny pies okazać swemu panu, kiedy ten z najściślejszą dokładnością odgadłby słowa, jakich psina z wiadomych względów w ludzką mowę obrócić nie może.

– Tak, tak – przytaknął szybko Herman, jakby nie chciał, żeby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. – To właśnie chciałem powiedzieć.

– I co to jest? – przynagliła go Aiysha. – Co nas może jeszcze uratować...

– Spokojnie – odparł Herman. – Musisz mieć jeszcze sporo cierpliwości.

– Cierpliwości? – spytała znowu dość posępnie Aiysha.

Herman przez chwilę nie odpowiadał. Spojrzałem w dół, na twarz Aiyshy, i zobaczyłem toczącą się po jej policzku łzę. W chwilę potem Aiysha łkała już cichutko. Mimo to emanował z niej jakiś stoicki spokój. Tak jakby nie wierzyła, jakby naprawdę nie wierzyła, że może nas coś rozłączyć.

– Rozumiem twój smutek lepiej niż myślisz – zaczął znowu Herman.

– Smutek? – powtórzyła jakby ze zdziwieniem przez łzy. – Ja wcale nie jestem smutna. Ja jestem szczęśliwa. Szczęśliwa, że jestem ze Slimem. Nie możesz nas rozdzielić. Nic nie może nas rozdzielić, nawet śmierć.

– Ale śmierć może was połączyć! – zripostował zdecydowanie Herman.

– Połączyć? – spytałem. – Co masz na myśli?

- Musicie przejść w inny wymiar.
- Inny wymiar?
- Tak, nie przesłyszałeś się.
- A jak się to robi? – wtrąciła się Aiysha.
- Chcę ci to wytłumaczyć.

Aiysha usiadła wyprostowana obok mnie, ramię przy ramieniu, splótłszy palce swojej lewej dłoni z moją dłonią i przylegającą do niej na całej długości ręką. Wyraźnie poprawił jej się nastrój.

– Słucham – powiedziała do Hermana całkiem przytomnym już głosem. – Jestem gotowa na wszystko. Możesz nas rozstrzelać. Co chcesz.

– Wiesz, że w twoich żyłach płynie królewska krew? – zwrócił się do niej Herman.

– Nie wiedziałam. Ale już wiem – odpowiedziała, uśmiechając się sympatycznie.

– A w moich? – spytałem, mimo że ze względu na moje pokrewieństwo z Aiyshą w moim przypadku nie mogło być inaczej.

– Właśnie. A w jego? – dodała zaczepnie Aiysha, jakby od tego miało zależeć, czy jestem w ogóle godny o nią się starać.

Herman spojrzał na mnie trochę sceptycznie.

– Jesteś ciężkim przypadkiem, Slim. Nie ma w tobie nic szczególnego. Twoje widoczne spektrum nie wykazuje żadnych odstępstw od przeciętności. Ale niewidoczne... jest nienamierzalne. Jakby go nie było.

– Może go nie ma?

– Może? Ale ty się nazywasz Slim Morano. I to nie jest żadna

diabelska sztuczka.

Herman spojrzał na mnie tak, jakby się spodziewał z mojej strony potwierdzenia wygłoszonej właśnie dopiero co przez siebie tezy.

– Nie jest – potwierdziłem więc na pół serio.

– W takim razie – kontynuował – nie mogę się mylić. Co jednak ciekawe, Aiysha ma ten sam problem. W was obydwójgu płynie królewska krew, ale nie posiadacie żadnych spektralnie namierzalnych królewskich insygniów. Słyszeliście już kiedyś o dwunastu apostołach?

– Apostołach? Nie – odpowiedziałem.

– Ja chyba też nie – dodała Aiysha.

– Tak też myślałem. To jest jednak o tyle zabawne, że ty sam jesteś trzynastym. Jesteś trzynastym apostołem, Slim.

– Aha. To znaczy?

– To długa historia. Zostałeś już kiedyś ukrzyżowany. Wraz z Aiyshą. W imię Jego.

– W imię jego? Co masz na myśli?

– W imię Zbawcy. Księcia pokoju, który dał się uśmiercić na krzyżu, aby uratować ludzkość od zagłady. Został do niego przybity i zamęczony na śmierć. On był synem Boga.

– Synem Boga? Przecież sam nam tłumaczyłeś, że wszyscy jesteśmy potomkami praboga i prabogini, którzy wraz z otaczającą ich światłością tam u góry tworzą jedno, nierozdzielne, wieczne Bóstwo. Wszyscy więc jesteśmy córkami i synami Boga.

– O tak. Ale on był synem pierworodnym. Pierwszym, który narodził się z miłości. I tym, do którego u końca dziejów wszystko powróci. Wszystko się w nim ponownie zjednoczy,

wszystkie pokolenia. Tak samo ty i Aiysha jesteście tam u góry jedną i tą samą osobą. Tutaj dzielą was od was tylko... wasze ciała. I dlatego...

– I dlatego?... – powtórzyła bezwiednie, aczkolwiek z pewną dozą niecierpliwości Aiysha.

– I dlatego musicie się połączyć.

– No właśnie, musimy – twarz Aiyshy rozpromienił najpiękniejszy u uśmiechów.

Herman spojrzał na Aiyshę z wielką powagą. Trochę nie pasowało to do sytuacji.

– Wiedziałem, że nadejdziecie. Wiedziałem, że musicie nadejść. I właśnie po to narodziliście się w tej niechcianej przyszłości, żeby ją zmienić, odchodząc ponownie w przeszłość. I dać przestrozę tamtym pokoleniom, zaświadczać, do czego ludzkość doszła. Pytanie tylko, czy ktoś wam uwierzy. Ale wtedy jeszcze... każdy znał imię Zbawcy. I tam właśnie musicie się przenieść. Na początek dwudziestego pierwszego wieku. To był decydujący moment. A twój pamiętnik, Slim, będzie dowodem. Będzie świadectwem tych naszych czasów. Wszystko, co w nim opisujesz, przypomni ci się w odpowiedniej chwili.

Herman spojrzał teraz na nas z jeszcze większą powagą.

– To był decydujący moment. Albo może on stać się decydującym. Pod warunkiem, że przezwycięzycie swój dualizm. Jesteście jednym i tym samym, lecz narodzicie się ponownie jako dwie osobne istoty. Istotę kobiecą będzie reprezentowała wasza część zwana Aiyshą.

Herman spojrzał teraz w moim kierunku.

– A istotę męską część was, zwana Slimem. Waszym zadaniem będzie się odnaleźć i połączyć w tak zwany związek małżeński. Będzie to jednak niemożliwe z punktu widzenia znanego wam Kodeksu Praw, który wówczas był jeszcze rozpowszechniony w

formie tak zwanych dziesięciu przykazań oraz tak zwanego nowego przykazania. Bo Slim, zanim cię pozna, będzie już związany z inną kobietą. Związek ten będzie bardzo nieszczęśliwy i ze względu na niezdolność tej kobiety do heteroseksualnej miłości, tak czy siak skazany na niepowodzenie. Ale będzie on formalnie usankcjonowany tak zwanym ślubem kościelnym. Mimo że będzie to niemożliwe z punktu obowiązującego wówczas kodeksu przykazań religijnych, będziecie jakoś musieli zawrzeć taki sam związek pomiędzy sobą. Musicie pozostać przy tym niewinni, prawi. To jest najważniejsze. I musicie też wiedzieć, że wszystkie ciemne siły staną wam w drodze. Wasze połączenie się na stałe, duchowe połączenie, oznaczałoby dla nich bowiem koniec ich egzystencji.

– Duchowe? – zapytała Aiysha. – Tylko duchowe?

– Nie bądź dzieckiem, Aiysha. Nie wiem dokładnie. Nie znam waszej przeszłości i przyszłości na pamięć. Wiem tylko, jakie macie zadanie, jaką macie misję do spełnienia. A misją tą jest przyczynienie się do zdemaskowania owych ciemnych, demiurgicznych sił, które kształtowały zbiorową świadomość ludzkości w tamtych czasach. Odebranie im kontroli nad rzeczywistością. To będzie dla nich tak, jakbyście dziecku chcieli odjąć od ust pokarm, należny mu od własnej matki. Tylko że to dziecko jest jak niechciany bękart. To jest dziecko, które w swoim tragicznie niespełnionym, monistycznym i mega egocentrycznym zagubieniu znienawidziło swoją własną matkę. I które nigdy nie nauczyło się kochać. I przez to żyło nieprzerwanie w histerycznym strachu, że każdy, kto nie jest od niego krańcowo zależny, jest jego śmiertelnym wrogiem. Ten jego zwyrodniały i pełen narcystycznego obłędu, chorobliwie cyniczny umysł demiurga ciemności rządzi tym zewnętrznym światem; i bojaźliwie wyszywa w ludzkich umysłach swój strach przed otwarciem się na uzdrawiającą energię praźródła. W ten sposób powstaje jaźń zbiorowa, taki pancerz ochronny, zabezpieczający ludzkość przed dopływem łaski miłości. Dotyczy

to na równi tego świata, w którym żyjecie, jak i tego, w którym się narodzicie. Jego władca, uzurpator rozporządzający gigantyczną telepatyczną inteligencją, nazywany wówczas szatanem (lub łagodniej upadłym aniołem albo księciem ciemności), postawił sobie za zadanie nie dopuścić w kontrolowanych przez siebie wymiarach szczęścia w miłości. A jak wiecie, najważniejszym warunkiem, aby być szczęśliwym, jest życie w stanie wzajemnej miłosnej adoracji. Cała reszta jest tylko fałszerstwem, jest tylko środkiem zastępczym, jaki podsuwa ludziom szatan, aby nie upominali się o ofiarowywaną im łaskę miłości. Bo ludzie staliby się wtedy silni, niezależni od mafijnych układów i pozostawaliby w stałym kontakcie z uzdrawiającą energią praźródła, którą można porównać do dobrej, kochającej wszystkich i spełniającej wszystkie szlachetne życzenia wróżki... Aby więc sobie i innym zapewnić powrót tej łaski do naszej trójwymiarowej rzeczywistości, narodzicie się w przeszłości na nowo.

Herman przerwał na chwilę, tak jakby czegoś nasłuchując. Potem dalej snuł swój wywód czy też raczej opisywał nam swoją wersję wydarzeń, które w tak zwanej przeszłości muszą znaleźć sobie jeszcze jakieś miejsce.

– Narodzicie się – ciągnął dalej Herman, bacząc, aby docierało do nas każde słowo – jako jednostki w pełni zintegrowane. Ty będziesz miał... – utkwiał teraz we mnie swoje wielkie, czarne oczy – będziesz miał ciało mężczyzny, ale w rzeczywistości będziesz zintegrowaną, heteroseksualną istotą męsko-kobietą. To samo Aiysha: ciało kobiety, orientacja heteroseksualna, zintegrowane wewnątrz kobieco-męskie. Powtarzam to wam po raz drugi, bo to jest bardzo ważne. Wtedy ludzkość zaczęła się dzielić na dwa przeciwstawne obozy. Choć nie będziecie pełnili w tym społeczeństwie oficjalnie żadnych ważnych funkcji, to jednak będziecie jako jednostki zintegrowane i heteroseksualne zarazem, będziecie mieli w sobie, na ile tylko będzie to w tamtym świecie możliwe, oba bieguny, plus i minus. Nie znaczy to, że nie będziecie przeżywali napiętności w stosunku do płci

przeciwnej. Wręcz przeciwnie, będzie wam bardzo za tym tęskno, bo będziecie o wiele bardziej świadomie, niż większość waszych współbliźnich, odczuwali potrzebę miłości. Ale wasza tęsknota, jak na tamte czasy, osiągnie niezwykle wysoki pułap jakościowy. Poza tym zaś będziecie skazani na życie zgodnie z prawami Kodeksu: nie będziecie po prostu w stanie im się przeciwstawić, co w tamtym świecie zepchnie was na społeczny margines, uczyni z was autsajderów. Mimo to wszyscy ludzie, którzy będą się z wami stykać, będą tęsknili za wami, jak za bóstwami, będą was kochać, ponieważ będziecie, tak jak i teraz, wbrew wszystkiemu, nieskałanymi częstkami najwyższej świadomości. Ale wszystkie ciemne moce będą przeciwko wam, podkreślam to jeszcze raz. Nie macie jednak powodów do obaw. Za sobą będziecie mieli wielu obrońców spośród obecnie żyjących Heterolandczyków, jeżeli tylko uda im się przejść na tamtą stronę. Może i mnie uda się do was prześliznąć. Aby wam dać w odpowiednim momencie wsparcie. Wasza miłość... musi doprowadzić was na ślubny kobierzec. Połączycie się, ale zostanieie czyści, czyli uświęceni przez miłość. Na zawsze. Kiedy to nastąpi, wielu pójdzie waszym śladem. Powstanie wiele nowych społeczności, gdzie pokora, czystość i uduchowiona miłość będą się mogły, wbrew całej komercji i degeneracji dotychczasowego świata, swobodnie i intensywnie rozwijać. Z czasem zaczną zanikać dualistyczna umysłowość, postrzegająca wszystko jako oddzielone od siebie i sobie obce. A przez to rozpadnie się też i dualizm tego naszego obecnego świata. Świata, w którym co prawda jeszcze żyjecie, ale w którym... nie macie już nic do szukania. Natomiast w tym nowym świecie dwudziestego pierwszego wieku, w którym się narodzicie, musicie się na najgłębszym poziomie połączyć.

– Zakładam się, że nam się uda – powiedziała Aiysha.

– Z kim się zakładasz?

– Z każdym – uśmiechnęła się nieco bezradnie i wzruszyła ramionami. Po czym dodała:

– Razem możemy osiągnąć wszystko. To tylko miałam na myśli. Że nareszcie jesteśmy razem. I że nareszcie możemy zjednoczyć swoje siły.

– Księżniczko Aiysho – uroczyście zwrócił się do niej Herman – czy wiesz, jakiej ofiary to już teraz wymaga? Czy wiesz, że właśnie Heterolandia ulega zagładzie? Czy wiesz, że właśnie zjednoczone siły Homos, Lesbos i Owenos pod wodzą Atai zrównują z ziemią całą naszą ojczyznę? I wiesz dlaczego?... Aby was posiąść. Piękną Aiyshę i Slima, jedyne żyjące jeszcze na wolności księcia nieskałanej miłości. Jesteście parą książęcą, ponieważ temu światu nie udało się was zepsuć. To jest cud. Że jako w pełni heteroseksualni kobieta i mężczyzna zostaliście połączeni więzami najgłębszej, braterskiej miłości i przez tyle lat jej nie skonsumowaliście. Oczywiście dopomógł wam przypadek albo to, co postrzegamy jako przypadek, a co jest działaniem kierowanym od góry i jak najbardziej celowym. I oto stoicie przed wyborem: możecie jeszcze to zrobić, jeszcze fizycznie się połączyć i zaznać tej ludzkiej, erotycznej miłości, o którą wszyscy walczą i zabiegają całe życie, tracąc z oczu cały ocean szczęścia, ukrytego w każdej mijającej sekundzie, przeżytej bez tego bielma cielesnego dualizmu, bez tego złudzenia, że wszystko istnieje oddzielnie. W każdej tej szczęśliwej sekundzie, przeżytej w owym wewnętrznym poczuciu, że jest się zjednoczonym ze wszystkim, co jest. A zatem doskonale wolnym. Wolnym jak ten, kto nie ma już żadnych doczesnych trosk, bo wie, że jest tylko częścią całości... I nie ma już żadnych pragnień, oddzielających go od całości i nakazujących mu walkę o byt na koszt innych. Ktoś nam już kiedyś pokazał tę drogę. Ktoś, kto swoją bezinteresownością, dobrocią, altruizmem zbawił świat. I ktoś, kto ukazał nam jedynie prawą drogę – drogę służenia innym. Możecie więc – i to jest alternatywa dla tej pierwszej drogi, drogi własnego szczęścia – pójść jego śladem i złożyć swoje życie w ofierze idealizmu, któremu nieprzerwanie byliście dotąd wierni. Wówczas czeka was niewola i wydanie się na łaskę tych, którzy was tak bardzo kochają, że zapragnęli was za

wszelką cenę osiąść na własność. Bo wydaje im się, że to ich wreszcie zaspokoi, że ich żądza zostanie nasycona. Ale na to, co was czeka, na to byliście gdzieś od środka już zawsze przygotowani. Wręcz po to się narodziliście, aby dać świadectwo, jaki ten świat jest. Abyście o tym wy, czystego serca, mogli Temu, który was posłał, zaświadczyć. Jesteście więc jakby świadkami, jakby narzędziem w rękach Boskiej sprawiedliwości. Ale wasz wybór – to, jak teraz postąpicie, na co się zdecydujecie, czy zechcecie wypełnić waszą misję czy też będziecie woleli zaznać tej odrobiny ludzkiego szczęścia, o którym wszyscy tak marzą – pozostawiony jest wam.

Herman dał nam chwilę do namysłu. Jego słowa położyły się na nas jakimś czarnym, burzowym cieniem i zapadły się w nas gdzieś bardzo głęboko. Czuliśmy się teraz tak, jakbyśmy w swoich wnętrzach, w swoich dwóch jednoczących się wnętrzach już od zawsze wiedzieli, co nas czeka, ale jakbyśmy dopiero teraz zdali sobie z tego jasno sprawę. I jakby nagle do nas dotarło, że od tej czarnej smugi nad naszymi głowami właściwie nie ma już ucieczki.

– Możecie, i macie na to jeszcze około jednej doby – kontynuował – przedostać się przez Porta Tempora do krainy, do której wasi prześladowcy nie mają i być może nigdy nie będą mieli dostępu. Bo prawdopodobnie nigdy nie uda im się tego przejścia odnaleźć. Zasłużyliście sobie na to i nikt nie będzie miał do was o to pretensji. Możecie też jednak pozostać tutaj i oddać się w ich ręce, wypełniając swoją pierwotną misję. Wybór należy do was. Od teraz pozostawiam was samych sobie, zdanych wyłącznie na siebie. Moja rola na tym się zakończyła. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

Herman pożegnał się z nami, przytulając nas po kolei do siebie, jakby chciał nam jeszcze dodać trochę odwagi, i całując nas po ojcowsku w czoło. Zostawił nam tylko jeszcze kopertę z jakąś modlitwą, której powinniśmy według niego się nauczyć i codziennie ją powtarzać – bez względu na to, jaką podejmiemy decyzję.

Przejście do Porta Tempora znaleźliśmy na pamięć. Znajdowało się ono w jaskini, wejście do której było praktycznie nie do odkrycia, jeżeli ktoś nie został wcześniej odpowiednio wtajemniczony. Jaskinia zaś była oddalona może o dziesięć minut drogi od naszej „lepianki”, w której pozostaliśmy teraz, zdani na siebie samych.

Po tym, jak Herman odszedł, siedzieliśmy jednak jeszcze bardzo długo przytuleni do siebie i milczeliśmy. Głowa Aiyshy, najpiękniejsza i najcenniejsza dla mnie głowa, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia, leżała w bezruchu na moim ramieniu i zdawała się mieć do rozwiązania największy swój życiowy problem; stojąc w obliczu niezwykle trudnej do podjęcia decyzji. Moja głowa znajdowała się w podobnym bezruchu, żeby nie powiedzieć, w bardzo głębokim zamyśleniu, i zdawała się mieć do rozwiązania ten sam problem.

Czas nam mijał, jakby go nie było, jakby nagle przestał istnieć. Zastygnięci w bezruchu, zatraciliśmy poczucie jego upływu. Nie mieliśmy siły ani najmniejszej ochoty, żeby cokolwiek przedsięwziąć lub żeby w ogóle się poruszyć. Tak zakończyło się dla nas coś, co się właściwie nigdy nie zaczęło. I to są moje ostatnie słowa. Sam chciałbym już teraz się dowiedzieć, co będzie dalej. Ale może to, co będzie, nie jest przeznaczone dla żadnych ludzkich uszu? Ani dla żadnych oczu? Albo może teraz jest jeszcze za wcześnie i jeszcze trzeba poczekać, dopóki nie nastąpi coś innego, coś, co musi nastąpić, zanim nastąpi to, co ma nastąpić teraz?

Bo czyż nie wszystko jest ze sobą niewidocznie powiązane? I czyż nie wszystko jest tylko jednym, wielkim, niepojętym misterium przeznaczenia? Jedną, wielką, nieskończoną, mistyczną kawałkadą?

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net